PIĄTY ROK WYDAWNICTWA

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 maja 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
44 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

JERZY BOREISZA

OBCY NURT

PANSEKSUALIZM LITERACKI

Celem poniższych uwag jest wskazanie ogniw przyczynowych, wiążących panseksualizm literacki — którego jednym z przejawów jest ostatni okres twórczości Emila Zegadłowicza — z pewnem uszeregowaniem zjawisk socjalnych.

Należy zastrzec się zgóry, iż w zakres niniejszych uwag nie wchodzi sprawa freudyzmu, jako teorji psychologicznej i psychjatryczej. Sprawa ta należy do współczesnej medycyny, która jeszcze nie osiągnęła w tej materji jednomyślności. Freudyzm pozostanie, bądźcobądź, nader ciekawem zjawiskiem dla historyka nauki, posługującego się socjologiczną analizą. Zastanowić go muszą przyczyny rozwoju tej teorji właśnie w obecnem stuleciu, w okresie tak wielkiego rozdarcia wewnętrznego w łonie mieszczaństwa i drobnomieszczaństwa. Interesujące dla takiego badacza będzie zjawisko przerostu życia seksualnego w klasach, które osiągnęły szczytowy okres swego rozwoju, na co zwrócił uwagę już Jerzy Sorel; nie mniej ciekawem zjawiskiem będzie przynależność klasowa typów psychicznych, któremi posługują się psychoanalitycy przy uzasadnianiu swoich teoryj.

Freudyzm stał się dla całej plejady literatów podstawą, na której budują swe koncepcje światopoglądowe. Niektórzy psychoanalitycy, jak np. Siegfried Bernfeld w artykule: „Czy freudyzm jest światopoglądem“, zastrzegają się, że „psychoanaliza, jako światopogląd jest zjawiskiem niesympatycznem i szkodliwem, przed którem należy jak najbardziej przestrzec grono wychowawców psychoanalityków“.[1]) Atoli pewne prądy w literaturze, które nazywamy panseksualistycznemi, słusznie czy niesłusznie, z większą lub mniejszą znajomością wiedzy psychoanalitycznej znalazły we freudyzmie jakgdyby teoretyczną podściółkę dla teoryj, które Emil Zegadłowicz określa następującemi słowami: „Kto nie widzi we wszelkich sztukach i w tworzeniu wszełkiem motoru pierwotnego: płciowości, ten patrzy na życie i przemiany spostrzegawczością skastrowanej małży“[2]) Nazywamy więc literaturą panseksualistyczną taką, w której element seksualny zostaje w odpowiedni sposób uszeregowany, by okazał się motorem rozwoju, dynamiki, przekształceń, obrazu.

Przedmiotem naszym jest więc nie poziom artystyczny tych utworów, który zresztą wiąże się bez wątpienia z samą tematyką, ani też indywidualno-psychologiczne procesy rozwoju autorów, ani też etyczna i utylitarna strona tej twórczości. Socjolog analizuje zjawisko literackie uwarunkowane zmianami socjopsychicznemi społeczeństwa, które powodują, iż dany utwór w danym okresie cieszy się powodzeniem, że znalazł grunt podatny w masie czytelniczej i stworzył, poprzez niezawodnych diagnostów tych nastrojów — wydawcę i nakład — podświadomy czy świadomy popyt na taki gatunek twórczości. Odtąd, wyrosła na glebie społecznych przemian, literatura przestaje być tylko skutkiem, ale poczyna prawem **wtórnego oddziaływania** wpływać na nurt społeczny. Zadaniem socjologji literatury jest więc zbadanie następującego łańcucha przyczynowego: 1) przemiany społeczne i socjopsychiczne jako **przyczyna** — że posłużę się terminologją Ignacego Fika — warunkująca nie tyle **organizację elementów** sztuki, ile jej **charakter**; dodajmy, i kierunek jej rozwoju; 2) proces „wyszukiwania“ skutkiem „społecznego zamówienia“ odpowiedniego typu autora, który dzięki indywidualnemu rozwojowi dorósł do tego gatunku twórczości; 3) powodzenie i poczytność utworu literackiego, która stwarza jego wtórne oddziaływanie na procesy i prądy społeczne, już jako przyczyna ich przyspieszania lub opóźniania.

Rzecz jasna, takie ujęcie sprawy kłóci się z określeniem sztuki przez freudystę Gustawa Bychowskiego, dla którego „tworzywem (literackiem) jest przecież dusza ludzka, ta psyche, która w ciągłej walce z rzeczywistością, zwaną historją i społeczeństwem, szuka sobie dróg rozwoju i wyrazu, a także szuka sobie sposobów uświadomienia“.[3]) Dla socjologa, mimo iż dany nurt sztuki nie jest zawsze współczesny, ani zawsze zbieżny z przekształceniami ekonomiczno - politycznemi — czasem je wyprzedza, czasem wraca po ich zniknięciu — zawsze jest jednak uwarunkowany zarówno społeczeństwem, jak też historją, nie istniejąc nigdy jako oderwana, metafizyczna psyche.

Zwróćmy więc uwagę nasamprzód na pewne powtarzalne elementy powstawania literatury panseksualnej, by potem przejść do elementów konkretnych, które nas obecnie interesują.

ELEMENTY POWTARZALNE

Tendencja, którą reprezentuje obecnie Emil Zegadłowicz w swych „Zmorach“, „Pokoju dziecinnym“, a nadewszystko w późniejszym utworze, nie jest ani szczególnie nowa, ani specyficznie wyrosła tylko na gruncie polskim.

Już w niemieckim przedwojennym młodzieżowym „Wandervoglu“ zaznaczył się poważny przerost przeżyć seksualnych, który przybrał katastrofalne rozmiary w okresie powojennym, w okresie bankructwa iluzyj, związanych z imperjalizmem niemieckim. W tych czasach powojennej inflacji przerost życia seksualnego rozszerzył się w społeczeństwie niemieckiem w zawrotnem tempie. Zakorzeniwszy się w bezrobotnej, włóczęgowskiej młodzieży, która usiłowała nadać rozwiązłości seksualnej polot idealistyczny, przy pomocy teoryj ukrycie homoseksualistycznych Voglaów mistycyzm seksualny rozrósł się następnie w licznych sektach modnych wtedy führerów w rodzaju Starka lub Hauessera. W piśmie tego drugiego „Ich“, masowo kolportowanem wśród niezliczonych rzesz zwolenników, firmowanem przez wielu profesorów i nawet lekarzy, można było, obok mistycznego bełkotu o nadczłowieku, odnaleźć niezliczoną ilość sformułowań panseksualistycznych. Klientelą społeczną owych „proroków“ było spauperyzowane drobnomieszczaństwo, zbuntowane przeciw gorzkiej rzeczywistości, wyładowujące swą rozpacz w mistycyzmie i w przeżyciach seksualnych. W Nadrenji i na Śląsku niemieckim, w Hamburgu i w Prusach Wschodnich można było w owym okresie zauważyć rozplakatowane obwieszczenia o przybyciu do miasta takiego lub innego „führera“, imponującego zdeklasowanym elementom swoją patetycznie obwieszczaną siłą, mocą i rzekomą rewolucyjnością.

Podobny zupełnie nurt, wyrosły na tle deklasowania pewnych elementów, na tle wyczerpania środowiskowego rozwinął się i we Francji, chociażby wokół poety-indywidualisty francuskiego E. Armanda, wydawcy i redaktora pisma „l‘en dehors“. Armand wzniósł sprawę wolnej miłości i swobody wyżywania się seksualnego, jako też hasło zerwania więzi przymusu, łączącej rzekomo jednostkę ze społecznością niemal do rzędu osi świata. Zgrupował wokół swego pisma szereg elementów włóczęgowskich, łotrzykowskich, słowem „ludzi marginesowych“, którzy tworzyli koła przyjaciół „l‘en dehors“. Ten oto nurt aspołeczny, antyspołeczny, buntowniczy, lecz nie rewolucyjny, epigonistycznie naturalistyczny objawił się potem w „Podróży do kresu nocy“ Céline‘a, utworze, wyrosłym z tego samego klimatu. Ta sama publiczność, która we Francji zachwycała się Célinem, w Niemczech znalazła inny rodzaj „niesamowitej okropności“ w utworach H. H. Ewersa..

Céline jest bez wątpienia wyrazem pewnego **buntu** przeciw rzeczywistości, buntu, który wyrasta z gleby zmęczenia środowiskowego, z irracjonalnego stosunku do rzeczywistości, z chęci zerwania, ucieczki spod przymusu wszelakich więzów społecznych.

Niektórzy, mieszając pojęcia buntownictwa i rewolucyjności, pragnęli doszukać się w utworze Céline‘a rewolucyjności. Są to jednak dwa pojęcia różne. Buntownictwo — to protest przeciw rzeczywistości, niezadowolenie z istniejącego świata, otoczenia, nie zawsze idące w parze z dynamiką przebudowy, przewartościowania świata otaczającego, twórczego stosunku do otoczenia, częstokroć wynikające właśnie z psychicznego i socjalnego zmęczenia. Rewolucyjność — to twórcze i świadome dążenie do przebudowy drogą przełomu znienawidzonej rzeczywistości. Bunt może wyrastać nie tylko z korzeni socjalnych, ale często jest uwarunkowany indywidualno-przypadkowym procesem; bunt przemienia się nieraz w rewolucyjność. Tak było z buntowniczością nihilistów rosyjskich. Rewolucjonista może stać się również buntowniczym malkontentem: przyzwyczajony do burzenia, do walki przeciwko komuś, lub czemuś, rewolucjonista, po zdobyciu władzy może nie móc zdobyć się na przełamanie swej psychiki burzyciela, na przeoranie, przeistoczenie siebie w budowniczego nowego życia. Stąd tragedja licznych rzesz rewolucjonistów, tragedja, którą nieraz ukazywały nam rewolucje.

Bunt niektórych warstw społecznych polaryzuje się, płynie w dwóch przeciwstawnych kierunkach: tam, gdzie przeważa irracjonalny element, gdzie jest skłonność do demonizacji zjawisk, następuje proces wyszukiwania demonów społecznych — byli w Niemczech nimi dla hitleryzmu Żydzi — i przy pomocy tego nurtu wyrasta reakcja. Oto m. innemi sens przejścia drobnomieszczaństwa do obozu Adolfa Hitlera... Tam znalazł się również H. H. Ewers. Oto sens przejścia irracjonalisty, demonizatora rzeczywistości Céline‘a do obozu hitlerowców francuskich. Bunt i panseksualizm przerodziły się w faszyzm. Natomiast bunt młodzieży rosyjskiej, w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, bunt, tkwiący socjalnie w klasie mającej przed sobą wielkie zadania postępowe, młodzieży, która zwróciła się ku europejskiemu racjonalizmowi i zajęła twórcze stanowisko wobec rzeczywistości, poszedł w zupełnie odmiennym kierunku.

Można przyjąć jako regułę, iż przerost życia seksualnego, stąd panseksualizm, zjawia się **w przededniu**, albo tuż **po** kataklizmach społecznych;[4]) że wyrasta jako wypaczona forma buntu przeciwko rzeczywistości, przeciwko otoczeniu; że wiąże się ze zjawiskiem powstawania mas ludzi wykolejonych, marginesowych, włóczęgowskich; że jest wyrazem irracjonalistycznego szukania interpretacyj otaczającego świata. Należy zastrzec się, że nie zawsze i nie wszędzie po kataklizmie następuje **wzrost** życia seksualnego: szereg wojen w Hiszpanji w wieku XVII spowodował to samo zjawisko **in minus**, wzrost ascezy. Trzeba jednak pamiętać, iż asceza (jako psychoza masowa) i przerost życia seksualnego są przejawami tego samego zjawiska.

Stąd, na tej glebie wyrosła literatura panseksualistyczna oddziaływa często na element niespołeczny ludzi marginesowych, którzy na tle tego irracjonalnego buntu przechodzą do... racjonalnej służby w obozie reakcji.

ELEMENTY KONKRETNE

Jakież przemiany społeczne i socjopsychiczne stały się przyczyną nie tyle „organizacyj elementów“, ile „charakteru“ obecnej literatury panseksualistycznej w Polsce?

Kraj przeżywa od lat ciężki kryzys nie tylko systemu, ale również ideologiczny. W najszerszych warstwach społeczeństwa narasta protest przeciw rzeczywistości, który szuka dróg swego wyładowania. Znalazł on swój wyraz we wzroście liczebności i działalności organizacyj robotniczych i chłopskich. Protest ideologiczny zrodził potrzebę odbronzowienia pewnych „wstydliwych zakątków historji“, potrzebę rewizjonizmu historycznego. Ten twórczy rewizjonizm zapoczątkował nie kto inny, jak Leon Kruczkowski w swym „Kordjanie i chamie“. To szukanie wyjścia znalazło wreszcie swój wyraz w całej fali nowych powieści, reportaży, poezyj.

Ów protest przeciw rzeczywistości zrodził się również w najszerszych masach drobnomieszczaństwa i w części mieszczaństwa. Szczególnie ostro zaznaczył się w kołach najbardziej kryzysem dotkniętej inteligencji. Brak wyjścia z kryzysu, pewne zniecierpliwienie, oddziaływanie wtórne sukcesów reakcji w innych krajach, zmęczenie środowiskowe, wzrastające deklasowanie i ubożenie mas inteligenckich, właściwa tej warstwie skłonność do bierności — wpłynęły na wynaturzenie tego niezadowolenia. Szuka ono swego ujścia. I znalazło je w odpowiedniej literaturze.

Cechą specyficzną rozpatrywanego procesu w literaturze polskiej, jest dwuramienność literatury tego typu, która zyskała ostatnio poklask wśród czytającej publiczności. To, co u Céline‘a znalazło swój wyraz w jednym utworze, swoisty romans łotrzykowski i powieść panseksualistyczna, u nas płynie dwoma nurtami: z jednej strony mamy literaturę „ludzi marginesowych“, od Uniłowskiego poprzez Piaseckiego do Ukniewskiej i Worcella — z drugiej literaturę panseksualistyczną. I znowu nie chodzi nam o sam fakt poruszenia w literaturze sprawy „ludzi marginesowych“, zupełnie zrozumiały, skoro liczba ich mnoży się obecnie. Nas interesuje przedewszystkiem **postawa autora wobec tych ludzi.** Przecież Wanda Wasilewska w swej nowej, a raczej pierwszej dojrzałej powieści „Ziemia w jarzmie“ daje również obraz człowieka marginesowego, jakim jest jej Anna. Ale Anna Wasilewskiej jest ukazana na tle procesu, Anna ma perspektywę wobec życia, gdy mnożąca się obecnie literatura w rodzaju „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy“ gubi swych bohaterów w ubronzowieniu tego środowiska. To współistnienie dwóch nurtów — dodajmy — świadczy o powtarzalności zjawiska, rozpatrywanego przedtem. Jeśli natomiast we Francji i Niemczech literatura tego typu zjawiła się po kataklizmie, to u nas przepowiada ona **jak nieomylny zwiastun nadchodzącą burzę.**

Literatura panseksualistyczna daje więc **namiastkę** rewizjonizmu historycznego i **namiastkę** radykalności.

Kilka słów o „Marysieńce“ Boya. Jeśli Leon Kruczkowski dał próbkę twórczego rewizjonizmu historji — tej wielkiej historji — Boy - Żeleński daje surogat, namiastkę rewizjonizmu w postaci sprowadzenia wielkich dziejowych procesów do motorów seksualnych. Gdyby w swojej „Marysieńce“ ograniczył się tylko do wskazania osobistych przeżyć króla Sobieskiego! Ale posuwa się dalej: oto wojny czasów Sobieskiego są, zdaniem Boya, określone amorami króla:

„Byłoby może niedopuszczalnym paradoksem spytać się, czy nie więcej od rodzinnych tradycyj „mścicielstwa“ owe romanse orjentowały wyobraźnię Sobieskiego ku Wschodowi“.

I znowu:

„Może dosiadłszy konia czuje w tej chwili nasz bohater, że znów podoba się swojej Marysieńce w tym akcie męskości... I może znów w tej chwili czuje, że ona jest z niego kontentna, ona, która go do rozpaczy przywodziła wiecznem niezadowoleniem...“.

A teraz proszę czytać:

„Co do wojen, mam własny pogląd na tę sprawę: jest dla mnie rzeczą pewną, że źródłem wojen są jądra męskie, ten największy i najwspanialszy kondensator energji — tutaj to rodzą się zaczepności krwiożercze: dla samicy! dla potomstwa! dla rodu! dla gatunku!...“.

To ostatnie już z dramatu Emila Zegadłowicza „Pokój dziecinny“ (Gorzeń Górny, 1936). Ten sam motyw, w odniesieniu nie tylko do wojen, w rozlicznych warjantach powtarza się w pozmorowej twórczości Zegadłowicza.

Wielkie powodzenie, jakiem cieszy się „Marysieńka Sobieska“ na półkach księgarskich i w czytelniach nie może być, rzecz jasna, przypisane tylko niezwykle interesującej formie i wielkiemu talentowi autora. Są one dowodem tego, iż ziarno panseksualizmu padło na urodzajną glebę.

Zanim jednak przejdziemy do analizy owej **namiastki** radykalności, jaką zdaniem naszem jest radykalizm utworów literackich, w okresie pozmorowym Emila Zegadłowicza, pragniemy kilka słów powiedzieć o drugiem ogniwie łańcucha przyczynowego, jaki badamy, to znaczy o procesie „wyszukiwania“ skutkiem „społecznego zamówienia“ odpowiedniego typu twórcy, który dzięki indywidualnemu rozwojowi odpowiada „pożądanemu gatunkowi twórczości“. Słowem, ciekawi nas, czemu trubadurami podobnej literatury w Polsce są właśnie Boy-Żeleński i Zegadłowicz, nie kto inny.

Przyglądając się procesowi zazębienia indywidualnego rozwoju pisarza i okresu, w którym dany autor może się twórczo wyżyć, dojdziemy do wniosku, że pisarzami dla publiczności o podobnem nastawieniu socjopsychicznem, jakiem jest w obecnym okresie część inteligencji, mogli być kontynuatorzy dekadenckiego skrzydła Młodej Polski. Wystarczy przypomnieć sobie ową atmosferę, którą przecież tak świetnie Boy scharakteryzował w swoich utworach-pamiętnikach! I jeśli człowiek z otoczenia Stanisława Przybyszewskiego, który w tej atmosferze dekadenckich twórców trwał i nasiąkł nią, staje się obecnie autorem „Marysieńki“, jakże nie powiedzieć — posługując się metodą i stylem Boya — **on revient toujours à ses premiers amours!**

Również w powieściach autobiograficznych Zegadłowicza można odnaleźć, jak silne wrażenie na młodym Mikołaju wywarły odgłosy środowiska dekadentów krakowskich. Jeśli weźmiemy pod uwagę aspołeczność Mikołaja, jego indyferentyzm wobec walki o niepodległość, stosunek zgóry do społeczników — czyżby to wszystko nie przypominało pewnych nastrojów kół krakowskich?

Napewno nie jest rzeczą przypadku, że głód takiej literatury w obecnym okresie zaspokajają Emil Zegadłowicz i Boy-Żeleński. Pazur społecznych przemian wygrzebał dla siebie najlepsze ziarno.

O RADYKALIZMIE ZEGADŁOWICZA

Proces wynaturzenia buntu drobnomieszczaństwa objawia się jaskrawo w samym rozwoju twórczości Emila Zegadłowicza. „Zmory“, pierwszy utwór tego okresu był bezsprzecznie wyrazem wyzwolenia się i odrzucenia przytłaczającej rzeczywistości. Był wyrazem protestu. Być może, iż **powstanie** „Zmór“ było wypadkową procesu indywidualnego, psychicznego rozwoju autora. Ale **powodzenie**, to znaczy oddziaływanie społeczne tego utworu, zostało uwarunkowane odpowiednim klimatem „publiki“. Gdy ów proces rozwoju przestaje być indywidualny, przypadkowy, czyli drugorzędny, i zazębia się o pewne ogniwa społeczne — wkraczamy w zakres socjologji.

Dla uniknięcia niejasności, należy zastrzec się, że:

Po pierwsze: rozpatrując „Zmory“ pod kątem widzenia zawartych tam tendencyj panseksualistycznych, nie zamierzamy postponować roli postępowej, jaką to dzieło odegrało, jako demaskatorski protest przeciwko zakłamanemu wychowaniu mieszczańskiemu, ani też nie zamierzamy postponować materjału zawartego w tej pracy, który posłuży zapewne jako cenne źródło dla pedagogów.

Po wtóre: nie leży w intencji tych rozważań upraszczanie procesu twórczości. Nie należy przypuszczać, by autor dzieł literackich mógł świadomie zdawać sobie zawsze sprawę z wpływów, jakie dzieło jego wywrze na czytelników. Po to, by uzyskać taką kontrolę nad swoją twórczością, musiałby zasymilować się z pracą społeczną, lub być uzbrojony w aparat wiedzy historjozoficznej i naukowej. Dla oświetlenia tych spraw jest niezwykle cenna praca Alfonsa Huxley‘a p. t. „Pisarze i czytelnicy“. (przekład polski, „Wiadomości Literackie“, nr. 756). Huxley pisze:

„Czasami zdarza się, że pisarze, nie mający wpływu na zwyczaje myślenia i czucia swoich współczesnych, zaczynają oddziaływać po śmierci, gdy okoliczności zmieniły się tak, że doktryna ich jest możliwa do przyjęcia. Tak nprz. szczególny mistycyzm seksualny Blake‘a zdobył sobie prawa obywatelstwa dopiero w w. XX. Blake umarł w r. 1827; ale w pewnem znaczeniu był współczesny D. H. Lawrence‘owi. Wespół z Lawrencem wywarł duży wpływ na wielu ludzi w powojennej Anglji i gdzieindziej. **Jest niezmiernie wątpliwe, czy rodzaj tego wpływu** (podkreślenie moje — J. B.) **był taki, jakiego sobie życzyli i Blake i Lawrence.** Mamy dane na to, że większa część czytelników użyła mistycznych doktryn Blake‘a i Lawrence‘a poprostu na poparcie słuszności maksymalnego folgowania sobie w rozwiązłości przy minimalnej odpowiedzialności. Że Lawrence namiętnie potępiał robienie podobnego użytku ze swych pism, o tem wiem. A jest wysoce prawdopodobne, że Blake podzieliłby jego uczucia. **Jedną z ironji losu pisarza jest, że nie może mieć nigdy pewności co do rodzaju wpływu, jaki wywrze na czytelników**“.

Po uczynieniu tych uwag, wracamy do „Zmór“.

Czy „Zmory“ są tylko buntem, protestem — przyznajemy — o niezwykłym poziomie i ekspresji artystycznej, i „oczyszczeniem“ z dotychczasowego kompleksu myśli, zjawisk reagowania? Czy Zegadłowicz stał się realistą, by w swoich Wadowicach dojrzeć proces, wyodrębnić elementy twórcze od rozkładowych? Czy — naodwrót — podobnie jak Céline, sfotografował potworność, napiętnował ją, ale wyjścia z niej nie dojrzał? Bo „Zmory“, to przecież nie tylko proces dojrzewania płciowego Mikołaja Srebrempisanego. Zgodzić się można, iż epilog: normalne przeżycie płciowe w tym ogniwie akcji — był wyzwoleniem. Ale „Zmory“, to drobnomieszczańskie miasteczko, to protest przeciw jego zakłamaniu, to wszystkie cienie tego miasta bez świateł. To Wadowice, gdzie jedyni socjaliści są pijakami lub karykaturami społeczników. To miasto, które jest zupełnie wypełnione wódką, chucią, lub ponurym pesymizmem. Ten łańcuch zjawisk nie znalazł w „Zmorach“ wyzwolenia.

Czyżby nie było **innych** Wadowic?

Niezmiernie wymowny jest list jednego z czytelników „Zmór“, byłego ucznia gimnazjum wadowickiego:

„Na czoło wybija się zagadnienie seksualne, któremu Pan dużo poświęca miejsca. Muszę przyznać, że nie wiedziałem, acz „żyłem w Wadowicach z żywymi“, iż zagadnienie seksualne odgrywało taką rolę i przybierało takie kształty, jak to Pan maluje. Nie spotkałem się z owemi zmaganiami, jakie normalnie okres dojrzewania młodzieży narzuca. Czy dlatego, że od lat najmłodszych zajmowałem się intensywnie kwestjami ideowemi? Czy może walka o chleb tak pochłonęła, żem sam okres dojrzewania przeżył bez wstrząsów, żem ich nie dostrzegł u kolegów? Pozostanie to dla mnie zagadką“.[5])

Byli więc tacy, co „zajęci walką o byt“ nie przeżywali tak okresu dojrzewania. W „Zmorach“ centralnym, osiowym problemem jest właśnie sprawa seksualna. Wobec niej autor **zatracił zupełnie dystans, proporcję, by ukazać ją w istotnem świetle, w perspektywie.** I to określiło dalszy charakter i kierunek buntu Zegadłowicza.

Charakterystyczne dla **rodzaju** buntu Zegadłowicza jest wysuwanie na czoło sprawy „brzydkich słów“. Ekshibicjonistyczne powtarzanie najbardziej brzydkich słów, jako też opis szczegółowy aktów ma być wyrazem protestu przeciw mieszczańskiemu zakłamaniu.

Rzecz jasna, są słowa nieprzyzwoite, i to nie tylko w zakłamanem środowisku mieszczańskiem, ale również i w środowisku proletarjackiem. Jeśli zwracamy uwagę na tę sprawę, to dlatego, iż wysuwanie zagadnienia słów brzydkich jest właśnie cechą drobnomieszczańskiego protestu przeciw swej rzeczywistości. Proszę zwrócić uwagę, iż większość młodzieńców, którzy przechodzą ze sfer mieszczańskich do socjalizmu, rozpoczynają swą „proletaryzację“ od używania „brzydkich słów“. Wpajano w nich, w ich zakłamanem środowisku, że takich słów wolno używać tylko plebsowi; gdy przychodzą do ludu, sądzą, iż mogą dać upust swej rzekomej „proletarjackości“. Spotyka ich jednak ciężki zawód, gdyż proletarjat nie odrzuca tego, co jest w kulturze ogólnoludzkiej cenne, a jest nią bezsprzecznie „higjena“ słowa.

Dalej: drobnomieszczański charakter buntownictwa Zegadłowicza określa nie tylko stosunek do seksualizmu, jako zjawiska nadrzędnego, ale przedewszystkiem stosunek do racjonalizmu, do dyscypliny myślowej i dyscypliny społecznej. Zegadłowicz jest nawskróś irracjonalistycznym indywidualistą. Powiada:

„To i owo pan o mnie słyszał, określił pan to sobie „erotomaństwo“, tu też proszę o cudzysłów — i jest pan zadowolony; pańskiego pokroju ludzie lubią, zwłaszcza w dziedzinie im dalekiej definicję, żeby odwalić problem, żeby go nie było na widnokręgu, żeby wogóle nie było i nie śmiało być nierozerwalnych problemów — bezproblemowe życie, ach co to za ubóstwo“.

Otóż, o ile nam wiadomo, nauka polega właśnie na definjowaniu i rozstrzyganiu problemów, zaś życie ludzi, którzy posiadają wyraźnie skrystalizowaną ideologję i rozstrzygnięte problemy, bynajmniej nie jest ubogie. Charakterystyczna jest ta bojaźń przed definicją, dążenie do unikania sformułowań jasnych, wyraźnych, chęć pozostawiania niezrozumiałości. I to malkontenctwo myślowe znajduje właśnie wyraz w indywidualistycznem, bodaj nitscheańskiem żądaniu dla siebie antyspołecznej wolności.

„Jaką idziemy drogą? prostą: dyscyplina wobec siebie, brak dyscypliny wobec wszystkiego i wszystkich; apoteoza dezorganizacji; jeśli was nie przerazi paradoks — to i: organizowanie dezorganizacji“.[6])

Atmosfera irracjonalizmu, mistycyzmu seksualnego, jakim są przesiąknięte książki Zegadłowicza, jest nurtem dla socjalizmu obcym, powiedziałbym wrogim. Na przykładzie H. H. Ewersa, na przykładzie Céline‘a, na przykładzie rozhisteryzowanych mas faszystowskich, wierzących w charyzmatycznego wodza mieliśmy dowody, dokąd ten nurt może prowadzić pisarza, jeśli w porę nie zawróci.

Jeszcze jedno. Dwa utwory Zegadłowicza kończą się jednym i tym samym akordem. Poprzez przeżycia seksualne poeta staje się przewódcą ludu. Ten obraz zawiera anachronizm. Jeśli poeta ma być symbolem przewódców, którzy przychodzą spoza sfery robotniczej poto, by stanąć na jej czele, należy zaznaczyć, że są to z zeszłego wieku pozostałe pojęcia roli inteligencji w ruchu socjalistycznym. „Lud“ wyłonił swoich przywódców, ci zaś, którzy doń przyszli, musieli ulec procesowi przełamania szeregu narowów myślowych. Inteligencja, która przychodzi do ludu ze swojem rozdarciem wewnętrznem, niepokojem, skłonnością do histerji i paniki, do seksualizmu, w otoczeniu ludzi, którzy być może, „pochłonięci walką o chleb“ nie dostrzegają motoru seksualnego swego postępowania, **natomiast wiedzą dobrze, czego chcą,** — odbywa swoje rzeczywiste katharsis, oczyszczenie ze swych hamulców, załamań, słabości. Niejeden przewódca robotniczy, który wyrósł ze sfery mieszczańskiej, mógłby powiedzieć, jak wiele zawdzięcza zetknięciu się z klasą obcą, której nie należy cukierkowo idealizować, która — niemniej przeto — została przez historję powołana do tworzenia nowej epoki.

Na podstawie powyższego materjału należy stwierdzić, iż w pozmorowej twórczości literackiej Zegadłowicza trudno znaleźć elementy nurtu radykalnego, natomiast mamy tu objawy wynaturzonego protestu drobnomieszczaństwa, protestu-buntu, który owinął się w bluszcz obcego socjalizmowi panseksualizmu.

Obca literatura. Obca ideologja, Obcy nurt.

NIEMA TABU

Pozycję społeczną powieściopisarza określa jego twórczość, prawda jego utworu. W niem wypowiada się z największą swobodą, i gdy wkońcu rozpatrujemy **wtórne oddziaływanie literatury na życie społeczne,** to nie osoba i prywatne poglądy autora działają, ale samo dzieło. Fryderyk Engels wielokrotnie zwracał uwagę na niedopuszczalność ustosunkowania się do artysty ze względu na takie lub inne przekonanie polityczne. Sam zresztą dał próbkę, gdy mimo przyjaźni politycznej złajał Lassale‘a za dramat „Franz von Sickingen“, zaś o Balzaku napisał:

„Balzak politycznie był legitymistą... To, że Balzak był zmuszony wystąpić przeciwko swoim własnym sympatjom klasowym i politycznym przesądom, to, że widział nieuchronność upadku swoich ulubionych arystokratów, uważam za jedną z większych zasług starego Balzaka“.

Klasyczny przykład, jak polityczne przekonania mogą wpływać na stosunek do autora — bez względu na merytoryczną rację — daje zapomniany niestety Maximilian Harden w swoich „Koepfe“, gdy opisuje zmianę stosunku do Emila Zoli, po jego przystąpieniu do obozu obrońców Dreyfusa:

„Pan Max Nordau, który jest paryskim korespondentem „Vossische Zeitung“, pisał tak oto przed sprawą Dreyfusa: „Sądzę, że u Zoli mamy do czynienia ze świadomem, planowem krętactwem. Zola jest psychopatą. W wielkim stopniu jest ogarnięty koprolalją. Czuje potrzebę używania brzydkich słów. Pozatem cierpi na **mania blasphematoria.** Każda strona jego powieści świadczy o tem, że jest seksualnym psychopatą. O tem, że życie seksualne Zoli jest niemoralne, mamy inne świadectwa, aniżeli jego powieści... Powodzenie Zoli można objaśnić tylko jego łajdactwem i wślizgiwaniem się“. Ten sam pan pisał po sprawie Dreyfusa: „Ten pożałowania godny człowiek wierzył, że stos dwudziestu dwóch powieści, które się wysoko i dumnie wznoszą, stworzą pomnik honorowy, w którego cieniu otrzyma wszystkie laury chwały... To był uczciwy, nieustraszony bohater, człowiek o złotem sercu i stalowym charakterze“. Nad grobem Zoli przemawiał Anatol France. Telegrafował do wdowy: „Wraz z panią żałobą okrył się świat cały. Ludzkość straciła jednego z najsilniejszych ludzi, jedno z najpotężniejszych serc. Mocarne dzieło Zoli żyje“. Na cmentarzu: „Zola był obdarzony duszą o krystalicznej czystości. Był dobry do głębi serca, był sumieniem ludzkości“. Ten sam Anatol France pisał przed sprawą Dreyfusa: „Nie zazdroszczę Zoli powodzenia jego utworów. Jego twórczość jest marna, i muszę dodać, że należy on do typów, co do których należałoby sobie życzyć, żeby nigdy nie ujrzeli światła dziennego“.

Przytoczyliśmy powyższe jedynie dla przykładu, jak zmieniał się stosunek do twórczości Zoli w zależności od jego politycznych posunięć. Ostatnio Céline, przeklinany przez narodowców pisarz, stał się „utalentowanym autorem“ dlatego, iż napisał antysemicką książkę.

Nie należy pomniejszać twórczości artystycznej autora dla przekonań politycznych lub jego publicystyki, tak samo, jak nie wolno pomniejszać znaczenia wystąpień politycznych pisarza dla szkodliwości jego literackiej pracy. Socjalista nie uznaje tabu, żadne hamulce nie krępują go z chwilą, gdy spostrzega, iż pewien nurt literacki jest w swojem oddziaływaniu zupełnie obcy postępowemu prądowi.

A jeśli między publicystyką a twórczością wielkiego artysty następuje dramatyczne rozdarcie — nic innego nam nie pozostaje, jak tylko zdjąć kapelusz i schylić czoło przed tragizmem tego pisarza.

I chciałoby się na zakończenie niniejszego szkicu dać wyraz nacechowanemu życzliwością przypuszczeniu, że pisarz, potrafi odnaleźć drogę twórczości realistycznej, więc postępowej. Ale tu wykroczylibyśmy poza ramy niniejszych rozważań, których celem było przecież wskazanie ogniw przyczynowych, łączących panseksualizm z pewnem uszeregowaniem zjawisk socjalnych.

Jerzy Boreisza

1) Almanach für das Jahr 1929. Internationaler Psychoanalitischer Verlag. Str. 29.

2) Emil Zegadłowicz. Pokój dziecinny. Gorzeń Górny. 1936. Str. 29.

3) Emil Zegadłowicz. i czytelnicy. Piszemy listy. Warszawa. 1937. Str. 65.

4) Sprawy te zostały opisane szczegółowo w ostatniej książce prof. J. St. Bystronia „Publiczność czytelnicza“. Lwów. Książnica-Atlas. 1938.

5) „Piszemy listy“, str. 96.

6) „Pokój dziecinny“, str. 24.

Sprawa Stefanji Sempołowskiej

Proces „Sygnałów“ o konfiskatę artykułu Haliny Górskiej „Nauczyciel życia“, omawiającego życie i działalność Stefanji Sempołowskiej („gloryfikacja osoby pod względem politycznym podejrzanej“), wszedł niespodziewanie na nowe tory. „Robotnik“ z dnia 20 kwietnia przyniósł p. t. „W sprawie rzekomego oskarżenia p. St. Sempołowskiej o zbrodnię stanu“ następującą wiadomość:

„Dowiadujemy się, że w związku z wystąpieniami M. Niedziałkowskiego i Leona Berensona w sprawie pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej Pani Stefanji Sempołowskiej z oskarżenia o zbrodnię stanu, p. Wiceprokurator Piotrowski, mający nadzór nad śledztwami politycznemi, ZAPRZECZYŁ, BY PRZECIW PANI STEFANJI SEMPOŁOWSKIEJ TOCZYŁO SIĘ JAKIEKOLWIEK DOCHODZENIE LUB ŚLEDZTWO.

Podając to chętnie do wiadomości publicznej, pragnęlibyśmy jednak wiedzieć, w jaki sposób Sędzia Śledczy Kleinert mógł poinformować Sąd Okręgowy we Lwowie o istnieniu takiego śledztwa i czy nie należałoby w drodze urzędowej nieporozumienie to jak najprędzej naprawić...“.

Wiadomość tę podajemy bez komentarzy i ze spokojem oczekujemy rozprawy w sądzie apelacyjnym.

* * *

W poprzednim (43) numerze „Sygnałów“ z dnia 15 kwietnia: **Leon Kruczkowski**: Wzdłuż, nie wpoprzek dziejów. — **Józef Ciągliński**: Rewolucja w Warszawie. — **Stefan Pomian**: Blaski i cienie Wielkiej Rewolucji. — **Paweł Makutra**: Miasnyci (fragment powieści). — **Zygmunt Jarosz**: O krwawiącej Hiszpanji. — **Marja Fidererówna**: Zemsta dziejów. — Ze sztuki hiszpańskiej: **Goya** (1746—1828). — **Jerzy Wyszomirski**: Madagaskarjada. — **Edward Csáto i Jerzy Kamil Weintraub**: Nowości poetyckie. — **Franciszek Siedlecki**: Droga dalej. — **Marjan Promiński**: Nowości literackie. — **Jerzy Bossak**: O cenzurze filmowej. — **Leonid Fokszański**: Wiosenne porządki. **St. J. Lec i J. K. Weintraub**: Przestroga. Mitologja. — **A. Jakubowski**: Jeden dzień „Gazety Polskiej“. — **Bohdan Igor Antonycz** (przełożył **Tadeusz Hollender**): Fragment z „Elegji o drzwiach śpiewających“. — **Ludwig Boerne** (przełożył **Vindob**): Przypomnienia. — **Franciszek Parecki**: Dwaj poeci (rys.). — W oczach Zachodu. — Sprawa Stefanji Sempołowskiej. — Lwowskie nagrody. — Korespondencja. — 10 stron. — 7 ilustracyj.

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

DZISIEJSZY BORYSŁAW

Za dobrych czasów wspaniałego rozkwitu przemysłu naftowego, przy samej tylko nafcie w Borysławiu było zatrudnionych ponad dziesięć tysięcy robotników. Wywiercono tysiące szybów i jeszcze przed dwudziestu laty przeciętna wydajność szybu rocznie wynosiła ponad pół tysiąca ton. Drogi do Borysławia zatłoczone były zwożonym materjałem, Borysław zasypany pieniędzmi, koleje przeciążone i nie można było nastarczyć z transportem nowych cystern. Zarobki były wysokie, ze znaczną ilością dodatków cysternianych. Wytworzył się specjalny typ robotnika naftowego, doskonale zorganizowanego, robotnika o wysokich zarobkach i dużych wymaganiach.

Po wojnie stosunki zmieniły się radykalnie i obecnie większość szybów jest unieruchomiona. Wszystkie, poza pojedyńczemi wyjątkami złoża, zostały odwiercone przed kilkudziesięciu laty. Większe przedsiębiorstwa, opanowawszy produkcję, kurczyły ją z dnia na dzień, redukując masowo robotników i racjonalizując pracę. Stare kopalnie, eksploatujące złoża odwiercone przed kilkudziesięciu laty, wyczerpują się, ale na ich miejsce nowe nie powstają. Przedsiębiorstwa prywatne nie chcą się angażować w inwestycje, kapitał naftowy, powiązany ściśle z kopalnictwem na wszystkich terenach międzynarodowych, nie chce sobie stwarzać konkurencji tutaj, gdzie trzeba ropę pracowicie tłokować, gdy gdzieindziej ma ją łatwo dostępną. Nafta jest droga, nie dociera do konsumenta i do wsi. Cały przemysł oczekuje reorganizacji, poszukiwawczych wierceń i planowej produkcji tych złóż, wielokrotnie bogatszych, niż dotychczas eksploatowane.

To oczekiwanie jednakowe jest tam, gdzie zaczyna się ten przemysł, pod Kosowem, górskiem miasteczkiem koło Żabiego, i pod Kosmaczem, wsią, w której było trochę tylko płytkich wierceń i jest kilka starych kopalń, i w owianej legendami, trudno dostępnej, przesłoniętej górami i wzgórzami Słobodzie Rungurskiej. Wyrasta ten problem groźnie w miejscu, gdzie ropa jest jedynym sensem istnienia wyłącznie kopalnianej osady sześciuset robotników naftowych, mieszkających w domach firmowych Bitkowa i zaraz niedaleko w olbrzymiej wsi, rozciągniętej przy drodze, skąd ropę, jak z Bitkowa, rurociągami odsyła się do Nadwórnej — w Piasecznej. Samotna kopalenka, połączona rurociągiem z Krechowicami, przy zapadłej w czarnej nocy, ciemności i błocie, odległej od Stanisławowa o pięćdziesiąt kilometrów wiosce Majdan — była jedynym łącznikiem tej miejscowości ze światem. Małe miasteczko — Perehińsko, do którego dojeżdża się autobusem ze Stanisławowa, żyło jedyną swoją kopalnią na przedmieściu i obok drugą w Niebyłowie.

Kosów, Żabie, Kosmacz, Słoboda, Bitków, Majdan, Perehińsko, o trzy kilometry dalej Rypne, do którego dochodzi wąskotorowa kolejka leśna z wędrującemi po niej do kolei w Rożniatowie cysternami, Dolina za Krechowicami, w której próbuje się wiercić zapomocą narzędzi przenośnych — z wszystkiemi temi nazwami wiązało się wiele zawiedzionych obecnie nadziei. Dalej przed Borysławiem jeszcze Daszawa, w której są tylko gazy ziemne, rurociągami przy drogach wędrujące pod ziemią do Borysławia, Lwowa i Stryja na opał i oświetlenie. Wychylające się nad rzeczki i strumienie rurociągi te izolowane są przemyślnie słomą, specjalnym korkiem i smołą. I jeszcze Schodnica, najstarsza kopalnia, która i teraz ciągle produkuje i wierci kilkoma rygami.

Na zachód od Borysławia już większych nadziei niema. Wszystkie te miejscowości — Strzelbice, Lipie, Brelików, Grabownica, Iwonicz, Równe, Rogi, Krościenko, Potok, Jedlicze, Brzozówka, Jaszczew, Roztoki, Harklowa, Biecz, Libusza, Lipinki, Kryk, Kobylanka, Sękowa, Siary, Ropica, Stara Sól — są obecnie raczej wspomnieniami zagłębia naftowego.

Pastwą redukcyj, zaczętych tu przed kilkunastu laty, padli najpierw robotnicy ukraińscy. W czasie, gdy przemysł jeszcze nie był rozwinięty, było ich tu zatrudnionych do dziewięćdziesięciu procent. Z czasem procent ten zaczął się zmniejszać przy napływie wykwalifikowanych robotników polskich z Zachodu, sprowadzanych zwłaszcza po dzikim strajku i „dywersjach". Później, nawet w najlepszych czasach, nie dochodził już do pięćdziesięciu, ponieważ wykwalifikowani wcześniej robotnicy z Zachodu na praktykę przyjmowali swoich. Ukraińcy jednak mieli większy udział przy furmankach, wosku i robotach ziemnych, a teraz mają większy udział, dochodzący do osiemdziesięciu procent, w bezrobociu. Dopiero reszta bezrobotnych są to Polacy oraz Żydzi, którzy kiedyś masowo pracowali jako robotnicy w kopalniach wosku, a potem, po upadku tych kopalń, pozostali najlepszymi robotnikami ziemnymi. Jest zastydzające, że wspólne robotnicze związki zawodowe, mogące mieć wpływ na charakter redukcji, nie biorą pod uwagę klucza narodowościowego, gdy po przeciwnej stronie jest on aż tak ściśle przestrzegany.

Ci z bezrobotnych, którzy mieli gdzie wrócić, jeżeli ich powiązania ze wsią były jeszcze świeże, wrócili. Wszystkie okoliczne wioski — Popiele, Banie, Opaki, Bystrycie, Modrycie i Stebniki, — pełne są bezrobotnych. Ale te wsie zapadłe, ciągnące się wzdłuż potoków i dróg między wzgórzami i w górach, na czerwonej ziemi „całkiem nieurodzajnej", składają się z maleńkich gospodarstw, które nie mogą się samoistnie utrzymać. Przygarniają one bezrobotnych, ale ich nie wyżywiają. Lud na tej roli są to biedaki. Mają po ćwierć i po pół morga, tu i ówdzie zdarzy się bogacz piętnastomorgowy. „Drobniutka kartofelka", się tylko urodzi, owies, a żyta bardzo mało. Po parę owiec hodują, po jednej „krowinie". Kupują drzewo, rżną i wożą do miasta. Tu i ówdzie mają słone źródła, z których oddawiendawna czerpano „surowicę". Gotują z niej sól, którą rekwiruje straż skarbowa po mieszkaniach i w drodze do miasta. Zwykłe jest tu dzielenie zapałek i nieużywanie nafty wogóle. Nocą wieś jest ciemna, warta na skraju pali szczypkami. Ludność ubrana w zgrzebne płótna, chodzi, zwłaszcza starsze generacje, w chodakach. „Chłopcy obdarte, naród bosy". Na wiosnę drogi rozmokłe, dojścia niema. Niektórzy pracują jeszcze po kopalniach w mieście i po małych „trójkach", charakterystycznie skrzypiących ręcznemi korbami. Ci do ośmiu i dziesięciu godzin pracy doliczać muszą godzinę na obiad i drugie osiem godzin na drogę. „Na obiad bierze kawałek owsianego oszczypka, robionego na blasze: tem robi szychtę".

W jednej z tych wsi urodził się ich ukraiński i robotniczy pisarz Iwan Franko. Obecnie robotnicy naftowi wykupili to jego gospodarstwo, stary, niski dom z okienkami pod strzechą, i na tem miejscu na wiosnę rozpoczną budowę osiedla dziecięcego imienia Franki. Będzie się to nazywało Ditocza Osela.

W Borysławiu bezrobotni, tłumem zgromadzeni w polu i na drodze przed wejściem do małego domku Opieki Społecznej, jako ludzie jeszcze czegoś oczekujący, na każdy wypadek mają przygotowane skargi i żale:

— Połowa nawet nie pracuje. Nędza jest. Naród wygłodzony.

Konkretnie przedstawia się to tak, że poza dużą ilością nędzy niezarejestrowanej jest ich ponad cztery tysiące dwustu tych, co pozostali w mieście. Trzon stanowią robotnicy naftowi. Z rodzinami jest to ponad czternaście tysięcy osób. Prawdopodobnie pracy już nie otrzymają, ponieważ i wyczerpie ich nędza i nie zanosi się też na wzrost ruchu wiertniczego, malejącego od 1924 roku. Po wyczerpaniu ustawowych zasiłków przychodzą, jak wszędzie, do Opieki Społecznej. Świadczenia są duże — rocznie do pół miljona — ale niewystarczające. Na osobę wypada to przeciętnie trzydzieści pięć złotych rocznie, po trzy złote miesięcznie. Toteż ostatnio, straciwszy już nadzieję, dużo bezrobotnych wyjechało. Byli to przeważnie tokarze i ślusarze, którym jeszcze najłatwiej jest o pracę. Po nich najwięcej nadziei mogą mieć giserzy, potem wiertacze i palacze. Trzeba jednak czekać. Najmniej szans mają pomocnicy szybowi. Reszta są to robotnicy placowi. Cieśle w sezonie pracują przy drobnych budowach, nieraz chwytają się oskarda. Ale trudno jest robotnikowi wykwalifikowanemu zmieniać zawód, gdy włożyło się weń młodość i najlepsze siły.

Na większą skalę zamieszki rzadko się zdarzają, raczej awantury indywidualne. Ale częste jest bicie szyb i okupowanie poczekalni. Usuwa się ich wtedy przemocą. Było może sześciuset ludzi ostatnio przed biurem, gdy wyprowadzano siłą jedną z kobiet, wdowę, znajdującą się w szczególnie złych warunkach. Tłum ujął się za nią. Zastosowano wiadome, tak zwane rezerwy.

Dziwne jest, że żyją, skoro świadczenia są zupełnie niewystarczające. Żyją więc cudem. Przedewszystkiem lasy są dewastowane na opał i jednak na sprzedaż, czego nigdy, wobec silnych powiązań poczuciem ze wsią, nie uważa się za kradzież. Ale kradzież ropy posiada już charakter wyraźny. Toteż między ludźmi, zajmującymi się tem, niema najczęściej prawdziwych robotników. Teraz jest i z tem coraz trudniej. Jeszcze może najłatwiejsza jest kradzież z dołów szlamowych, w których magazynują do oczyszczenia lżejszą ropę, podchodzącą na wierzch przy podwiercaniu i czyszczeniu szybu. Sprzedaje się ją pokątnym kupcom i właścicielom małych firm, którzy oddają ją dalej jako swoją. Żelazo zabiera się nie tylko jako luźny materjał, ale i demontuje się rury. Gazolina, z rur i syfonów, jest droga i znajduje najchętniejszych odbiorców. Po domach chodzą bezrobotni nie jako żebracy, lecz jako „bezrobotni" — z prośbą o zapomogę i jedzenie.

Ale tem wszystkiem zajmują się robotnicy już wyczerpani i całkowicie wyniszczeni przez kilkunastoletnie bezrobocie — ci, co ciążą już raczej do lumpenproletarjatu. Reszta stara się chwycić gdziekolwiek prace na dzień, dwa, trzy, przy małych robotach małych firm. I tych bezrobocie wyniszcza do reszty. A są to przecież wszystko ludzie z doskonałą przeszłością, świetni pracownicy i organizatorzy. Często reprezentowali interesy zbiorowe i można było wówczas na nich polegać, że się nie pośliznął, że się nie dadzą przekupić. Ale po tylu latach borykania się z tym losem są już zupełnie starci. Jest to aż nienormalne. Marnują się ci ludzie o pięknych nazwiskach, pochodzących od dawnych rodów robotniczych, ludzie z ciężkiemi, długoletniemi praktykami, po których dochodzili do swego wspaniałego, bohaterskiego życia pionierów tego przemysłu. Ludzie męscy, pracownicy poważni i odpowiedzialni. W czasie ich młodości, podczas praktyki, pracowało się normalnie po półtorej doby z półgodzinnemi przerwami co dwanaście godzin. Dopiero ta co druga noc była wolna. Teraz cała ta praktyka i doświadczenie, cała specjalna wiedza, tak wypracowana, nie znajduje zużytkowania poza żebraniną i drobnemi kradzieżami. Marnują się tu wielkie siły, zamagazynowane w ludziach.

Taki Albert Solar. Jego ojciec był maszynistą tartacznym, zajmował więc wysokie stanowisko w hierarchji robotniczej. Ale i jego dziadek, o którym nie zachowały się bliższe wiadomości, był już wykwalifikowanym robotnikiem i pracował w kopalni węgla przy maszynie, poruszającej windy. Solar jest mocnym, wspaniałym człowiekiem. Jest to robotnik, pracujący od swego trzynastego roku życia. „Gdybym tak wówczas nie pracował — mówi o wyjątkowo ciężkiej pracy z dzieciństwa — to dziś byłbym wielki i bardzo mocny człowiek". Ale zachował z tego czasu na zawsze dobre wspomnienia, trwałą przyjaźń i wdzięczność dla przełożonych robotników, surowych i wymagających, to prawda, ale opiekujących się praktykantami i uważających, by nie było znęcania się i wyzysku, a najważniejsze, że dbałych o to, by uczyć. Dumą i najpiękniejszem wspomnieniem z całego życia jest dla niego dowód godności robotniczej, zapamiętany z dzieciństwa. Jest to wspomnienie o przełożonych robotnikach, którzy ujęli się za praktykantami, gdy ci mieli zostać ukarani chłostą. „Powiedzieli — opowiada — że nie śmieliby nam w oczy spojrzeć, gdy zostaniemy wyzwoleni i będziem razem z nimi na równi pracowali: to się musieli za nami ująć". W takiej atmosferze urabiał się jego charakter. Był świetnym pracownikiem i doskonałym organizatorem. W czasie zbiorowych zatargów wiele razy obierano go delegatem i przewodniczącym zebrań.

A dziś ten człowiek po niezmordowanym, szczerze wypełnionem pracą zawodową i społeczną życiu jest złepkiem kilku kompromitujących ubogich stanów chorobowych. Zastrachany, lękliwy i służalczy oddawna przestał być dawnym towarzyskim człowiekiem. Zleniwiał i zgnuśniał, zniknęła jego męskość, przedsiębiorczość i godność osobista. Zwłóczy się rano z łóżka tylko poto, by gdziekolwiek spać na ławce. Wstydzi się spotkać towarzyszy, którzy pracują. Doniedawna jeszcze szarpał się, chwytając każdą dorywczą pracę. Wychudł i wynędzniał, ubranie na nim zmięło się i wyniszczyło, dłonie, nie dotykając od dawna ropy, zbielały i wydelikatniały. Prosi o premję, ponieważ ma dziewięcioro dzieci i uzasadnia swoje podanie karykaturalnym szeregiem państwowotwórczych zapewnień i najtańszej publicystyki. Jest napół obłąkany. Wystaje pod oknami biura Opieki Społecznej ze swoim monotonnym gestem, nie robiącym już tutaj na nikim wrażenia: kręci palcem po brzuchu, pokazując, jak jest głodny. Mówi rzadko, głosem bezapelacyjnym, jakby z innej rzeczywistości, zawsze nie à propos.

Taki kowal, Emil Kroń, wysoki, prawie dziewczęco piękny mężczyzna, mający wspaniałą twarz, orli nos, wysoko wygięte brwi, piękne, zielone oczy i maleńkie uszy, przylegające i różowe, mający za sobą wiele wynalazków i udoskonaleń i wiele lat, przepracowanych w tym przemyśle, do którego przyszedł jako chłopiec zwabiony cudownemi opowiadaniami o djamentowych świdrach, używanych w wiertnictwie, jest chorobliwie łagodny i uprzejmy. Od dzieciństwa musiał zdobywać sobie poza prawem i miejscem do pracy jeszcze i świadomość, że praca i nauka jest mu potrzebna. Praktykował o głodzie i w poniewierce, póki nie trafił na uczciwego, dobrze wspominanego człowieka, kowala Szeftela. U niego dopiero zdobył naukę i poznał ambicje swego zawodu. Słysząc, jak świetna jest praca przy nafcie, wyjechał do zagłębia naftowego, by dalej się doskonalić. Po kilkunastu latach pracy, w której był jednym z najlepszych specjalistów, majstruje obecnie bez przekonania kłódki i kluczyki na targ. Pracy już nie otrzyma, ponieważ kilka lat bezrobocia wywołały w nim dziwną chorobę, niemożliwą do wytrzymania dla otoczenia, a polegającą na tem, że we wszystkiem chce być pierwszy. Nie wywołuje awantur, jest nieszkodliwym melancholikiem. Jego stan nienormalny obecnie przejawia się tylko tem, że swoim uprzejmym, wyszukanym, kwiecistym stylem pisze podania o zapomogę i pracę i każdemu je doręcza.

Zaleszczuk ma piękne albumy z podpisami, otrzymane na dwudziestolecie spółdzielni, której był pierwszym członkiem i pierwszym prezesem. Któregoś dnia zostawił swoje dzieci pod przytułkiem, sam zaś poszedł z miasta. Odesłano go z granicy. Po odcierpieniu kary za jej przekroczenie wrócił otępiały i unieszkodliwiony. Obecnie zamiast niego musi występować jego żona. Jest to kobieta chora na gruźlicę, której niewiele pozostało do przeżycia. Gładka cera, wyszlachetniała twarz. Uważnem wysłowieniem broni się przed tępotą. Jak zwykle gruźlicy jest przeczulona na swoją krzywdę. Toteż często zza cienkiej przegródki jej mieszkania słyszy się nie pasujące do jej wyglądu, nieoczekiwane przekleństwa spowodu „doli" jej i dzieci. Potem jest zawstydzona. Nie mówi o tem, nie tłumaczy niczego, tylko właśnie wstydzi się wyraźnie.

Stanisław Urnik, świetny pracownik i organizator, jest groteskowym człowieczkiem, terroryzującym wszystkich rewelacjami o nadużyciach i kradzieżach, które właśnie on musi wytępić. On wszystko zmieni. On ma kolosalny wpływ na ludzi. Wie naprzykład, że istnieje zmowa, by ograbić sklep. Albo: ten inżynier znowu kradnie. Nie może się uspokoić i mimo, że wszyscy opędzają się od niego, przychodzi i mówi naprzykład tak:

— Tyś mu nawymyślał i on z tego umarł.

— Nie. Przecież umarł na tyfus.

— Tak. Ale tyfusu dostał ze zmartwienia.

Jedna jego córka zastrzeliła się, druga się truła. Żona jest bliska obłędu, dostaje ataków płaczu spowodu każdego stuknięcia czy trzasku.

W takiej atmosferze żyją ci, którzy oblegają tamtejsze biuro Opieki Społecznej. Podobny los grozi im wszystkim. Toteż coraz bardziej pomoc tej Opieki, jakby w świadomości sytuacji, nastawiona jest na młodzież i dzieci.

O powstaniu świata i pochodzeniu człowieka

Książka ta*) jest może bardziej potrzebna, niż zadowalająca. Zasadnicza jej koncepcja: omówienie na kilkudziesięciu zaledwie stronach takich problemów, jak powstanie świata i pochodzenie chłowieka uderza swoją śmiałością. Zadanie tego rodzaju nieprędko jeszcze zostanie całkowicie i bez zastrzeżeń rozwiązane.

Autor, dobry w gruncie rzeczy popularyzator, natrafić musiał na nieprzezwyciężone trudności. Właściwemu zagadnieniu powstania świata poświęcił około dwu stronic (22—24). Natomiast zbyt szczegółowo chyba potraktował geologiczną partję swego dziełka, niepotrzebnie pstrząc ją wszystkiemi dźwięcznemi terminami okresów rozwoju skorupy ziemskiej.

Mimo zdrowej ogólnej tendencji książki Wyspiańskiego budzi wątpliwość szereg poszczególnych sformułowań, jakie w niej spotykamy. I tak n. p. określenie teorji naukowej jako „przypuszczenia" (str. 8 i 24), wygląda na grube nieporozumienie. Nie tyle chyba nie po lecz hipotezę definjujemy jako „przypuszczenie, posiadające uzasadnienie naukowe". (por. encyklopedja „Świat i Życie", t. V, zesz. 5). Również żal autora, że chrześcijaństwo „niepotrzebnie obarczyło się spadkiem starych ksiąg żydowskich, reprezentujących zapatrywania z czasów dzieciństwa ludzkości" — wygląda z historycznego punktu widzenia na bardzo daleko idącą naiwność.

„Jest prawdopodobne — pisze Wyspiański na str. 22 — że cały nasz wszechświat ze wszystkiemi swemi galaktykami i ich zespołami tworzy jeden system, którego rozmiary i struktura przekraczają naszą zdolność pojmowania, a którego harmonja i ustrój zespolone są Najwyższą Formą Bytu".

To niezbyt jasne zdanie, wydrukowane na dobitek kursywą, może nasunąć pewne wyobrażenia o panteistycznym charakterze. Nie leżało to chyba w intencjach autora, jak należy przypuszczać z całości książki i jej myśli przewodniej.

Wątpliwości budzą także podrozdziały o powstaniu najprostszych form życia (str. 42—44) i o dziedziczeniu cech nabytych (str. 60—62). Przejawia się w nich znamienny optymizm autora, którego myśl ciąży ku takim rozwiązaniom, jak samorództwo (antenatów „naszych" ultramikrobów) i pozytywna odpowiedź na pytanie o dziedziczności nabytków organicznych. Wyspiański nie chce być jednak heretykiem w obliczu ostatnich osiągnięć nauki i opatruje swoje przedstawienie wymienionych zagadnień laskiem zastrzeżeń, w którym nietrudno zgubić się mniej doświadczonemu czytelnikowi.

Jak to zostało jednak zaznaczone na początku niniejszej recenzji, ukazanie się tej małej książeczki o powstaniu świata i pochodzeniu człowieka jest samo przez się faktem pozytywnym. Powinna ona odegrać swą rolę w budzeniu myśli krytycznej na terenach tak bardzo u nas zaniedbanych. Powinna trafić do świetlic robotniczych i chłopskich. Niech uczy przyrodniczego realizmu w spojrzeniu na świat, tego realizmu, który zresztą z natury swej bliższy jest umysłowości pracowników fizycznych, niż mózgom pozostałej (znikomej) mniejszości mieszkańców naszej planety.

Zygmunt Jarosz

*) **Witold Wyspiański. Jak powstał wszechświat i człowiek.** Warszawa, Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego, 1937; str. 77 + 3 nl.

MARJAN CZUCHNOWSKI

BURZYCIELE WŁOŚCIAN

Historja chłopów polskich obfituje od swych początków w żywe dążenia do wolności, równości i sprawiedliwości. I walka o ziemię i walka o prawo i walka o uszanowanie ludzkiej godności prowadzona była z wielkiemi ofiarami chłopów przeciw krzywdzie, ciemiężeniu i niesprawiedliwości bogatych i uprzywilejowanych, panujących mieczem i nieprawością nad ludem. Jest dużo w tej historji buntów, powstań i masowych ruchów przeciw panom świeckim i kościelnym.

Brak historji szczerze, uczciwie i bezstronnie, z ludowego punktu widzenia napisanej, historji opartej na wszechstronnych źródłach historycznych, w których sumienność faktów, uczciwość badawcza i zrozumienie interesów Polski jako narodu i kraju, szłaby w parze z wielką wiedzą o życiu i dziejach innych narodów, naszych bliższych i dalszych sąsiadów, daje się szczególnie dotkliwie odczuwać właśnie w sprawie chłopskiej. Niesumienność szlacheckich, mieszczańskich i innych, na modę pańską urobionych historyków, były główną namiętnością polskich pisarzy historycznych, nie zaś prawda, uczciwość i bezstronność! Przeinaczanie historji i przypisywanie szlachcie cudownych właściwości państwowotwórczych musiało się odbić fatalnie na spisanych dziejach chłopa w Polsce.

Dopiero ostatnie lata zmusiły wielu historyków do surowej, choć wcale jeszcze nie gruntownej rewizji szlacheckiej przeszłości. Z pomocą chłopom przyszli ci badacze naszej przeszłości, którzy z archiwów wydobywają na światło dzienne dzieje prawdziwej walki chłopskiej z polskimi panami o życie i prawo do niego. Zaczęto doceniać ruchy masowe, rozumieć je i przypisywać tym masowym ruchom właściwą rolę i doniosłość w kształtowaniu i regulowaniu doli chłopskiej i naszego kraju. Również zaczęto doceniać rolę dobrego kierownictwa, dobrej organizacji i dobrej taktyki politycznej. Badanie przyczyn zwycięstwa i upadku poszczególnych ruchów i ich odgałęzień daje naukę tym, co chcą i umieją z niej skorzystać.

Jednym z tych, którzy umożliwiają chłopom dokładniejsze, staranniejsze i źródłowe poznanie przeszłości i chłopskiej historji, jest warszawski archiwista, badacz źródeł i ich powściągliwy, sumienny komentator — Hipolit Grynwaser. Studja archiwalne Grynwasera „Kwestja agrarna i ruch włościan w Królestwie Polskiem w pierwszej połowie XIX wieku“ oraz „Przywódcy i burzyciele włościan“ dają czytelnikowi świeży, czysty materjał źródłowy.*)

Grynwaser nie kreśli syntez, nie daje przekrojów, nie barwi swych studjów historycznych osobistym poglądem tak czy inaczej zamanifestowanym, ale daje prawdę dokumentów. Wykształcenie prawnicze gwarantuje ścisłość naukową, materjał jest rzetelnie usystematyzowany; ręka prawnika zręcznie porządkuje zawiłe sprawy. Tylko namiętny puls, bijący z cytatów, dokumentów, faktów dobranych ściśle, daje nam znać, że autor nietylko blisko jest związany z podanemi sprawami, ale puls chłopskiej historji jest jedynym pulsem jego pracy naukowej.

OPÓR CHŁOPÓW W KRÓLESTWIE KONGRESOWEM

Grynwaser wydobył z archiwów nowe dokumenty, oświetlające jeden z bardzo ważnych etapów walki chłopskiej o wolność i ziemię w latach 1815—1830 na terenie Królestwa Kongresowego. Przeciwko roszczeniom dzierżawców majątków skarbowych, dawnych królewszczyzn, będących w rękach cara i skarbu, chłopi występowali masowo i ślady tej walki zapisała historja, którą przypomniał Grynwaser.

Grynwaser ustala, że w latach tych panował w dobrach skarbowych ten sam typ gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej, co w majątkach prywatnych, ponieważ chłopi z majątków skarbowych musieli uiszczać świadczenia na rzecz dzierżawcy, posesora, mieli jednak tę wyższość nad chłopami wsi prywatnych, że mogli mieć poczucie prawa i wyższej siły nad zarządzającym temi dobrami starostą lub dzierżawcą. Ta właśnie okoliczność, że mogli się odwołać do władzy wyższej, do sądu wyższego, dała im możność walki o swe prawa, gdy chłopi ze wsi prywatnej tego czynić nie mogli, na ich dziedzicu zaczynała się i kończyła wszelka władza na ziemi; dziedzic miał monopol nie tylko na prawo, ale i na przywilej wykonywania go bez „wtrącania się króla i rządu“.

Włościan ze wsi skarbowych do walki o zrzucenie ciężaru pańszczyzny pchnęła przedewszystkiem troska o życie. Ustalanie się w dobrach skarbowych folwarków, które zabierały chłopom nietylko darmową robociznę, ale sięgały po chłopskie grunta, pastwiska i lasy i wypierały ich z dawnego użytkowania — zmusiło chłopów do rewizji dawnych świadczeń i ciężarów pańszczyźnianych, do ich zmiany według zmian, dokonanych ostatniemi wydarzeniami na krajowym terenie gospodarczym. Gospodarka feudalno-pańszczyźniana, towarowa, coraz mocniej przeobrażała się w gospodarkę towarowo-pieniężną, w pieniężną przedewszystkiem; pieniądz wdzierał się w życie wsi coraz potężniej i domagał się dla siebie wyłącznego prawa.

BOJE O CZYNSZE

Dlatego też chłopi skarbowi, widząc zachodzące zmiany, chcieli zamiany pańszczyzny na czynsze pieniężne, zaś bogatsi spośród nich parcelacji ziemi folwarcznej bądź za czynsz, bądź na własność za gotówkę, aby nie musieli nigdy odrabiać pańszczyzny. Oczywiście, szlachta nie chciała rozparcelowania królewszczyzn pomiędzy chłopów za wykupem czynszowym, bo chłop wolny, samodzielny i niezależny w dobrach skarbowych, byłby wspaniałą pokusą do masowego przechodzenia chłopów ze wsi prywatnych na majątki skarbowe, pozatem powstałyby konkurencyjne dla folwarków chłopskie gospodarstwa samodzielne, produkcyjne i żywotne.

Korzystając z prawa odwołania się do najwyższej władzy nad dobrami skarbowemi, carskiego namiestnika, chłopi z Królestwa Kongresowego skarżyli się władzom warszawskim w latach 1816/17 nie tylko na ciemięztwo dzierżawców i naddzierżawców przez nadmierne robocizny, ale na nieprzestrzeganie przywilejów królewskich, na oszukiwanie skarbu przez niewpłacanie do niego ściąganych z włościan podatków. Był to ruch masowy, który nie poprzestał na żądaniu zniesienia pańszczyzny i oczynszowania, ale chłopi czynnie w wielu miejscowościach odmówili pańszczyźnianych robocizn. Carski wielkorządca Królestwa, generał Zajączek pisał do cara 28 czerwca 1817 r.: „całe gromady przychodzą do mnie do Warszawy, aby żądać zwolnienia od pańszczyzny“.

PRZYWÓDCY WŁOŚCIAN

U Grynwasera znajdujemy kilka sylwetek ówczesnych przywódców włościan, jak z wybitniejszych: Jana Kisłowskiego, Jana Marcina Mackiewicza, Jana Komorowskiego, Noska Majerowicza i szczególnie wybitnego Franciszka Rupińskiego.

Jan Kisłowski był aresztowany 16 maja 1816 r. za buntowanie włościan, takie same oskarżenie skierowane przeciw Janowi Marcinowi Mackiewiczowi po śledztwie prefekta łomżyńskiego spełzło na niczem. Mackiewicz był obrońcą przy sądzie pokoju w powiecie sejneńskim. Jan Komorowski, rodem z Łęczycy, kilkakrotnie aresztowany, był odbity z aresztu przez 300 chłopów, skazany został za buntowanie chłopów na trzy lata. Nosek Majerowicz został aresztowany, ponieważ przesłał carowi Aleksandrowi w r. 1815, podczas jego pobytu w Warszawie, skargę na dzierżawcę w imieniu chłopów ze wsi Dylewa ekonomji koronnej Ostrołęckiej.

Wszyscy ci przywódcy włościan niechłopskiego pochodzenia pisali skargi bądź do cara samego, bądź do wielkorządcy carskiego w Warszawie, gen. Zajączka. Sądy ówczesne przez szlachciców polskich prowadzone odnosiły się do tych szlacheckich przywódców włościańskich w walce przeciwpańszczyźnianej nie tylko wrogo, ale stale w skargach pomawiano tych „burzycieli włościan“ o „oszustwo i zwodzenie biednego ludu“. Że chodziło o walkę z pańszczyzną, o czynsz i wolność, to „nie istniało“ — o to nie oskarżano burzycieli, ale wmawiano w nich „oszustwo i zwodzenie“.

Obok przywódców niechłopskiego pochodzenia, którzy reprezentowali chłopów na zewnątrz, wobec władz, mieli chłopi swych przywódców po wsiach, o tęgiej sile charakteru, uczciwych i ofiarnych, którzy bardzo dużo — przy skąpych możliwościach osobistych — zrobili dla sprawy chłopskiej. Szczególnie mocno wystąpiło powiązanie pracy przywódcy niechłopskiego pochodzenia z kierownictwem czysto chłopskiem w walce chłopów z dóbr Zyple przeciw Teresie Tyszkiewiczowej, siostrze ks. Józefa Poniatowskiego, która ten majątek po księciu Józefie odziedziczyła.

FRANCISZEK RUPIŃSKI

Jeszcze w r. 1777 książę Poniatowski zwolnił chłopów od pańszczyzny i odstąpił im grunta folwarczne, zamieniając im całą sumę należności na czynsz w wysokości 30 talarów od włóki litewskiej; pełnomocnik Tyszkiewiczowej zmuszał jednak chłopów wolnych od pańszczyzny do „kupowania od dworu drzewa na opał i budulec w miejsce wolnego dotąd wstępu do puszczy“, oraz zwiększył im oczynszowanie bezprawnie tytułem „morgowego“, nie zapłacił skarbowi podatków pobranych od włościan od r. 1807 i przywłaszczał sobie kwoty, należące się chłopom od rządu za bezpłatne dostawy i t. d. i t. d.

Tysiąc stu pięćdziesięciu dziewięciu (1159) chłopów dało 8 listopada 1815 r. pełnomocnictwo Franciszkowi Rupińskiemu, obrońcy przy sądzie pokoju w Marjampolu, do wystąpienia przeciw nieprawnym roszczeniom Tyszkiewiczowej i jej plenipotenta. Rupiński został aresztowany, lecz sąd go wypuścił, orzekając, że „podanie prośby do dominium, ani napisanie takiej prośby nie jest czynem karalnym“. Rupiński więc wniósł nową skargę, podpisaną w imieniu 1300 (tysiąc trzystu) włościan. Chociaż „pisanie prośby nie jest czynem karalnym“, stary, napoleoński generał Zajączek wsadził znowu Rupińskiego do więzienia i napisał do cara raport, w którym skarży się, że władze sądowe „oświadczyły, że niema wystarczających dowodów karalności, co ośmiela tych intrygantów“. Generał Zajączek prosi dalej w swym raporcie, aby car zostawił mu wolną rękę w karaniu bez odwoływania się do sądów. Ale car nie poszedł na projekty napoleońskiego kondotjera, wzywającego bicza carsko-policyjnego na przywódców polskich chłopów, i Zajączkowi odmówił prawa stosowania „środków nadzwyczajnych“.

Rupiński wypuszczony na wolność niedługo się nią cieszył, bo Zajączek mimo braku carskiego zezwolenia kazał nieprawnie 27 września 1817 r. znowu aresztować Rupińskiego. Rupiński tego samego roku znów jest aresztowany w listopadzie „trybem policyjnym“, ponieważ sądy nie chciały wydać takiego nakazu. Sąd policji poprawczej wydziału kalwaryjskiego w dniu 7 marca 1818 r. skazał Rupińskiego na dwa lata twierdzy, zaś chłopa Jędrzeja Wojczajtysa na rok domu kary i około trzydziestu chłopów — przywódców na kary od 2 do 4 miesięcy więzienia.

Rupiński cieszył się ogromnem uznaniem chłopów zyplewskich; zbierano składki na niego podczas przebywania w więzieniu; pomimo, iż policja wezwała 500 chłopów dla zakomunikowania im, że nie wolno pod karą stykać się z Rupińskim, chłopi masowo oświadczyli, że „póki Rupiński żyć będzie, póty mu ze składek dawać będziemy; w końcu kiedy już żyć przestanie, to jeżeli kości jego poznamy, będziemy zbierać i dawać za duszę jego na modlitwy“.

Taka jest gorąca wdzięczność ludu dla swoich prawdziwych obrońców i przyjaciół. Porównać tych dwu ludzi: bezbronnego „burzyciela włościan“ Rupińskiego i jego pogromcę generała Zajączka. Rupiński pozbawiony możności obrony, kilkakrotnie aresztowany, walczący o zniesienie pańszczyzny i generał Zajączek, służący najpierw Napoleonowi, potem jego wrogowi, carowi rosyjskiemu; generał - Polak, wzywający carskich pełnomocnictw dla „uśmierzenia“ polskiego ludu.

*) **Hipolit Grynwaser. Kwestja agrarna i ruch włościan w Królestwie Polskiem w pierwszej połowie XIX wieku.** Warszawa, Kasa im. Mianowskiego, 1935; str. IV i 215 i 1 nl. **Tenże. Przywódcy i burzyciele włościan.** Odbitka z „Przeglądu Współczesnego“. Warszawa, 1937; str. 46.

POWIEŚĆ BALICKIEGO

Stefan Balicki. Czerw. Powieść. Warszawa, „Rój“, 1938; str. 291 i 9 nl. Zł. 6.

Tematem powieści Balickiego jest ukazanie momentu zwrotnego w rozwoju duchowym siedemnastoletniego chłopca, pozostawionego przez pokłóconych rodziców jakgdyby w środku życia. Uczeń gimnazjalny Jerzy Szelina wypacza się; z chwilą gdy stracił szacunek dla swoich rodziców, dojrzawszy po stronie matki małostkowość i histerję, po stronie ojca egoizm i niehamowany erotyzm, uczuwa usuwanie się gruntu moralnego spod nóg. Wobec tego, że tak postępują starsi, nic właściwie nie jest szkodliwe i niedozwolone, jeśli prowadzi do natychmiastowego zadowolenia. Jest to sposób myślenia typowy dla osobników amoralnych, z których rekrutują się przestępcy. Autor w tym punkcie początkowym swojej książki popełnił pewien błąd, który nawet trudno nazwać błędem psychologicznym, raczej niezupełnem przemyśleniem praw dziedziczności i wpisów, które jasno nakreśliłyby mu drogę w świetle n. p. takiej rozprawy, jak „Verbrechen als Schicksal“ Langego. O cóż tu chodzi? Jerzy jest chłopcem delikatnym, wstydliwym, nieśmiałym, o niewyładowanych pragnieniach erotycznych, typowym smarkaczem, który albo przezwycięża swój stan z wiekiem i w miarę ośmielenia przez życie, albo pozostaje człowiekiem z tremą, o ile warunki fizyczne by mu nie dopisywały. Takie jest szablonowe prawo psychologiczne. W momencie, w którym Jerzy przekonał się, że z rodziców nie może brać żadnego wzoru moralnego, jako postać literacka ma trzy drogi do wyboru: albo powiedzieć sobie — muszę naprawić, skorygować wadliwe postępowanie moich najbliższych, będę lepszy od nich (mamy w życiu częste przykłady takich charakterów mocnych i wyrobionych już w młodym wieku, zwłaszcza u dzieci „nieprawego łoża“, które starają się przezwyciężyć uprzedzenia środowiska), albo — wypadek drugi — pozostanie nadal bez zmiany postacią uczuciowo miękką i niezdecydowaną, o poprawnej zdawkowej moralności (wyjście najlepsze i najprawdziwsze w stosunku do zadatków, notowanych przez autora); lub wreszcie rzuci się w arrywizm i zbrodnię. Tę najefektowniejszą drogę wybrał autor dla swego bohatera, pomijając nieodzowne w tym wypadku zaznaczenie, że charakter Jerzego był już bezkształtną larwą, zanim pojawiły się pierwsze warunki, prowokujące do przestępstwa. Nie można przecież mówić, że ktoś rozchorował się na raka żołądka, bo jadł gorące potrawy. Warunki wyzwalają cechy konstytucjonalne, nie tworzą ich. Jerzy, gdyby nie zaczął od okradania matki, bo tegoby n. p. nie potrzebował, kiedyś rozpocząłby z całą pewnością odrazu od okradania instytucji, sobie powierzonej. Temperament etyczny dziedziczy się, względnie otrzymuje się jako nieodczytany jeszcze dar przy poczęciu narówni z kształtem dłoni. Autor w pewnym momencie orjentuje się w tej prawdzie i kiedy dochodzi do przypadkowego zresztą zabójstwa antykwarzysty Lustmanna, wkłada w usta Jerzego takie słowa: „To się dawno zbierało“. Jest to wyznanie właściwe i ilustrujące dogłębi: zbierało się jak soki fizjologiczne, z nieodpartym determinizmem.

Poza tą konwencją początkową Balicki prowadzi akcję konsekwentnie i z dużym zmysłem realisty, stawiającego postacie objektywnie i nieomylnie. Jerzy jest na stancji u dziwaka polonusa Kieronia: rezultat obserwacji środowiska — śmierć Kieroniowej jest epizodem o wzruszającem krótkiem spięciu; Jerzy współzawodniczy z kolegą Jowickim — kawał, który mu urządził, podsłuchawszy seansu spirytystycznego z Kieroniem, dowodzi jego wyrachowanej przewrotności. Jowicki, wymiotując wino, które nibyto z polecenia nieboszczki kazał sobie stawiać przez Kieronia, daje sobie szarpać wnętrzności wprost przez Jerzego, który opowiedział mu zmyślony sen. Postacie: matki, płytkiej histeryczki i ojca dość bezradnego w życiu egoisty, który chce się odgrodzić od rodziny, kiedy stracił dla niej zainteresowanie przez erotyzm we współżyciu z żoną, są dobrze wyznaczonemi osobami. Sam moment dokonania zbrodni na Lustmannie, któremu młody Szelina przynosi skradzione u ojca drobiazgi, jako sytuacja bez wyjścia dla niedoświadczonego wzroku chłopca — wybrany trafnie, zawsze popełnia się przecież większe przestępstwo dla krycia mniejszego.

Przy lekturze powieści Balickiego nasuwa się porównanie losów Jerzego Szeliny z losami Józefa Magosa z „Grzeszników“ Körmendiego, książki, poświęconej w połowie także takiemu młodemu przestępcy z niczego. Zbrodnia wypada tam jednak nietylko jako pewien automatyzm faktów, prowadzących do zła, ale jako wynik mistycznej siły fatalnej, ciążącej nad człowiekiem. Owo przesunięcie od zwykłej pragmatyczności nie wyszło zresztą „Grzesznikom“ na korzyść. Balicki zagadnienie uprościł i urealnił, podobieństwo zaś, które nieodparcie się nasuwa w stosunku do tamtej wcześniejszej książki, jest chyba przypadkowe. Nic nowego pod słońcem: charaktery chłopców są identyczne, zarówno jak motywy postępowania — chodzi o zdobycie rangi męskiej przez miłostkę. Tylko bohater Balickiego zamiast zabić przygodną kochankę Fączakównę, jak było u Körmendiego, skrupił swą złość i trwogę na Lustmannie, tak, jakby obierał inny warjant tej samej zagadki szachowej.

Marian Promiński

Twórz satyryku!

„Redaktorze, satyrę napisałem świetną,
poprostu palce lizać z atramentu.
Tyle w niej dowcipu i temperamentu,
czuję, że trafiłem wprost zabójczo w sedno“.

„Na kogo to?“ — „Na Langwedocję Dolną“.
„Nie pójdzie, mistrzu!“ — „Co to, już nie wolno?“
„Może wolno, mój drogi, lecz właściwie poco,
dziś Langwedocję starł ktoś z mapy nocą!“

„Ach, że też ludzie nie śpią już nocami!
Mam w tece rzecz niewinną o Flipie i Flapie“.
„Broń Boże! To cenzura jak rodzynkę złapie.
Flip i Flap są od wczoraj gdzieś dyktatorami!“

„Więc redaktorze, mam tu taki wiersz na siebie,
cięty paszkwil, jest świetny, szkoda mi go podrzeć.“
„W tych czasach? Skąd mistrz wie, że dziś nie będzie w niebie?
O umarłych zaś pisać wolno tylko dobrze!“

St. J. Lec

HALINA GÓRSKA

ANNA*)

Kłótnica była ta Anna i taka jędza, że drugiej takiej kobiety, to już chyba nikt nie miał.

Mówiły jej nieraz inne: poco ze swoim zaczyna, poco się z nim do bitki bierze, Przecie wie, że takiemu siłaczowi nie poradzi. Ale Anna nie była z takich, co wszystko ścierpią, pokornie plecy pod kułak nastawią, cichutko się w kąciku wypłaczą. Jak Anna wiedziała, że jej prawda i jej krzywda, to gotowa się była bić, choćby z dziesięcioma.

Jeszcze kiedy była mała, potrafiła się stawić czterem starszym od niej chłopakom macochy. Dostała od nich tak, że ledwie się ruszać mogła, dostała od macochy, a i ojciec jeszcze przyłożył — i nic! Na drugi dzień to samo. I taka już została. Życie nie nauczyło jej niczego. Nie ustąpiła ani majstrowi w fabryce, ani paniom, do których chodziła później do szorowania i prania, ani (kiedy przyszły czasy bezrobocia) — opiekunkom z komitetów.

Do tych nawet, można powiedzieć, najostrzej się stawiała. Bo Rudzka ani rusz nie chciała zrozumieć, że to przecie ich łaska i dobra wola.

— Ich prawo — mówiła — dać mi pracę, albo utrzymanie!

I nie na żebry Rudzka chodziła, ale domagać się tego prawa. Nie chciała byle jakich ochłapów, ale tyle, żeby można było żyć! A kiedy ją raz jedna paniusia z à Paulo zapytała, czy nie poczuwa się względem swych dobrodziejów do żadnej wdzięczności, to Rudzka jej wprost powiedziała:

— W d..ę mnie pani pocałuj! Nie ja pani, ale pani mnie masz być wdzięczna! Bo żeby takich pań, jak pani, nie było, toby mnie było lżej żyć, ale jakby mnie nie było, to dla kogobyś pani była dobrodziejką?!...

Czasem nawet to się już Rudzka, jak jej bardzo życie dokuczyło, starała. Ale cóż? Choćby chciała, nie potrafiła inaczej. A jeżeli się już kiedy do jakiej pokory czy uległości przymusiła, to tak ją taka chwila gnębiła, tak w niej jak drzazga tkwiła, tak ją bolała i piekła, że spokoju nie miała, póki się znowu nie postawiła, póki ze siebie tej złości nie wyrzuciła.

Zawsze coś jej było na przeszkodzie, a dopiec to mu potrafiła tak, że czasem to już myślał, że ją chyba roztrzęsie, że z niej ten upór pięściami wypędzi. Ale z Anny nie można było niczego wytrząść, ani wypędzić.

Jeszcze kiedy była dziewczyną i kiedy Rudzki z nią chodził, to mu czasem tak dokuczyła, że na kraj świataby od niej uciekł.

Ale tak go tą swoją złością opętała, tak go obałamuciła, że świata za nią nie widział i wracał do niej znowu, żeby wytłumaczyć, żeby się wykłócić, żeby jej „pokazać“, że się nie da.

— Poczekaj! — myślał czasem, wychodząc od niej — już ja cię, jak się pobierzemy ukrócę! Już ty u mnie jak zegarek będziesz chodziła!

Ale nie ukrócił.

Sam djabełby sobie z taką babą nie dał rady.

Raz, jak się w szynku upił, przyszła go do domu zabrać. Patrzy, a tu jakieś trzy batiary zabrały mu palto i zegarek i jeszcze go biją. Inna, toby krzyku narobiła, albo po policję leciała i możnaby było pisać na przepadłe. Ale Anna, jak, nic nie mówiąc, nie chwyci stołka! Jak nie wytnie jednego chłopa w łeb, a drugiego w pysk — stłukła wszystkich trzech, zegarek i palto odebrała i jego do domu zaprowadziła.

Cholera to była, nie kobieta i taka honorna, że na całym świecie takiej szukać!

Cóż, kiedy zła!

Niczego mu nie chciała przepuścić, niczego nie wytknąć. A on znowu tego ścierpieć nie mógł, bo go właśnie od niej każde słowo najbardziej bolało.

Jeszcze, póki była praca, to pół biedy. Bo wtedy Rudzki napił się czasem w sobotę z kolegami, ale nigdy tak, żeby wypłatę przepił. Od czasu, jak się ożenił, stale do kieliszka nie zaglądał, bo już i wódka mu od tego dogadywania Anny zbrzydła.

Ale kiedy przyszło bezrobocie i napróżno wałęsał się z kąta w kąt, ciągle mając te głodne dzieci i zaharowaną Annę na oczach, to go już taka rozpacz brała, że musiał czasem zapomnieć, choćby miał tę ostatnią marynarkę, koc czy poduszkę sprzedać. Tak mu to życie zbrzydło, że mu już było wszystko jedno, co będzie potem.

Ale Anna nie rozumiała tego, tak jak ani rusz nie chciała pojąć i zrozumieć, poco on do „Pracy“ się zapisał.

Nie słodko mu przecież było. Sam widział, co to za ferajna — łamistrajki różne, wypędki związkowe i najgorszej sorty batiarnia. Dość powiedzieć, że Walenty Łabaj wielką figurą w tej „Pracy“ był.

Nie o te wozy z piwem, które im do lokalu sprowadzano, ani o to żarcie, ani o te dziewczyny, które co wieczór ciągneli, mu przecież szło, jak to wykrzykiwała Anna. Ale było kilku inżynierów, którzy tylko tym z „Pracy“ dawali robotę i nawet wyższe niż gdzieindziej stawki. Czy miał dalej patrzeć, jak się Anna męczy, jak choremu dziecku szklanki mleka kupić nie może, jak dzieciom chleb wydziela? Mało mu to razy wykrzykiwała dawniej w gniewie: Idź do twego związku, niech ci dadzą! Ale oni tylko na 1 maja z czerwonemi kokardkami spacerować potrafią! Żebym ja była chłopem, to jużbym potrafiła o swoje się upomnieć — gówniarze!

A teraz to właśnie o to, że wystąpił z dawnego związku, głowę mu suszyła.

— Ta czekajcie dzieci! — mówiła z kąśliwą uprzejmością, podając mu czapkę i obcierając ściereczką buty, żeby się niby glancowały. — Ta nie przeszkadzajcie, bo tato teraz już nie chodzi do robotniczego związku, ale razem z panem Łabajem — „uczęszcza“. Ksiądz tam także przychodzi i akademiki i różne profesory i inżyniery. Jak im co z nosa spadnie, to może tacie dadzą...

— Anna! — wołał Rudzki, bo czuł, że już nie wytrzyma — Anna!!

A ona, jakby nic nie słyszała:

— A jak nawet nic nie dadzą, to i tak sobie tato poradzi. Na jaką przekupkę napadnie, albo stragan wywróci, obwarzanka Romciowi przyniesie...

Rudzki czuł, że za chwilę zacznie prać, ale że chodziła z brzuchem, więc tylko czapkę na oczy naciskał i z domu uciekał.

Bo dla kogo to wszystko robił, jak nie dla dzieci i dla niej — dla kogo?

Może myślała, że słodko mu dawnych kolegów na ulicy wymijać?!

Dla kogo zniósł ten wstyd, że jak się raz na budowę nie z „Pracy“ zgłosił, to go związkowcy jak parszywego psa przegnali?!

Mniejsza zresztą o kolegów — związkowców! Pluje na nich Rudzki i na ich związek i na ich partję. Mało się to między sobą żarli? Ile to razy słyszał od pepesowców, że ci z ZZZ, to zaprzańcy i zdrajcy klasy robotniczej, a od komunistów, że pepesowcy, to sługusy burżuazji?! Ile to razy po nieudanym strajku mówiło się, że taki a taki sekretarz albo delegat — zdradził? O ilu towarzyszach szeptało się po kątach, że to „kapusie“?!

Mniejsza więc o dawnych kolegów! Mniejsza! Choć — co mieli za prawo go sądzić?!

Przecie gdyby Rudzki widział taką organizację, czy taki związek, któremuby naprawdę zawierzył, to nigdyby sprawy robotniczej nie zdradził, choćby mu przyszło z Anną i z dziećmi z głodu zdechnąć. A tak, to kto wie, po czyjej stronie prawda?...

Chodził teraz co niedzieli do „Pracy“ na „pogadanki“.

Lokal był wtedy uprzątnięty i czysto zamieciony, członkowie siedzieli niby grzeczne dzieci w ławkach i słuchali prelegentów.

Przychodził najczęściej jakiś ksiądz i jakiś inżynier, czasem akademik.

Mówili o wspólnej pracy wszystkich klas dla dobra ojczyzny i o wyzysku kapitalistów — żydowskich. I o trzeźwości i o kooperatywach. I o nędzy wyzysku i uciemiężeniu chłopów i robotników — w Rosji.

Rudzkiemu przychodziła czasem do głowy myśl, czy wiedzą oni, jak wygląda lokal w dnie powszednie? A potem, że jeżeli nie wiedzą, to skąd się biorą owe wozy z piwem i żarcie i kto opłaca całe pomieszczenie, bo przecie nikt z członków?

Ale natychmiast tłumił w sobie te myśli i na złość Annie, na złość im wszystkim — słuchał i potakiwał.

I im dłużej słuchał, tem rozsądniejsze wydawały mu się ich argumenty, tem bardziej nie wiedział **nie chciał wiedzieć**, po czyjej stronie prawda — tych czy tamtych.

Jeden z akademików powiedział naprzykład, że „Praca“ pragnie właściwie tego samego, co socjaliści, ale prócz tego chce wyrzucić wszystkich Żydów z Polski. Żydów w Polsce jest trzy miljony, bezrobotnych dużo mniej. Jeśli więc wyrzuci się Żydów, to nie tylko wszyscy bezrobotni znajdą pracę, ale będzie ich jeszcze za mało i — wzrosną płace. To chyba jasne, nie? Socjaliści wiedzą o tem równie dobrze jak on, ale że są przepłaceni przez Żydów — milczą.

Nie pozbawiony zdrowego sensu był także argument księdza, który tłumaczył im pewnego razu, że zniszczenie klas posiadających będzie największą klęską dla proletarjatu: dla kogoż będzie proletarjat pracował, jeżeli szewcy, krawcy, kawiarnie, gospodarze domów stracą najlepszych swych odbiorców?! Interesy kapitalisty i robotnika nie są wcale przeciwstawne. Przeciwnie! Są ściśle związane ze sobą. I tylko ludzie, którym zależy na sianiu zamętu i bezładu, szczują robotników. A komu zależy? Tym, którzy, nie będąc Polakami, nie są związani z krajem, i pracują dla tego, kto im lepiej zapłaci.

Rudzki zbierał starannie te wszystkie dowody, zakarbowywał je sobie w pamięci, powiększał o materjał rozdawanych w „Pracy“ odezw i broszurek i przynosił — Annie.

Anna nie chodziła nigdy na zebrania, nie czytała ani broszur, ani odezw i nie umiała odeprzeć jego argumentów.

Toteż nie odzywając się ani słowem prała, szorowała i gotowała, jakby go zupełnie nie słyszała, jakby jego słowa waliły nie w nią, ale gdzieś obok, w mur, w ścianę.

Tylko czuł, jak się aż dusiła ze złości, tylko widział jak tarła bieliznę tak, że mało jej nie podarła, szorowała, jakby chciała zedrzeć podłogę, rzucała garnkami, że aż się w izbie rozlegało.

Ale Rudzki — nic. Tylko mówił, krzyczał, wrzeszczał tak głośno, żeby przekrzyczeć ten rumor, który podnosiła i żeby musiała, choćby ją krew miała zalać, słyszeć każde jego słowo!

*) Z materjałów do powieści „Ucieczki“.

Powieść o chłopach

Jest rzeczą godną uwagi, jak łatwo i zwycięsko przekroczył Czuchnowski granicę, oddzielającą rejony liryki od krain prozy epickiej. Taka zmiana nastawień twórczych, takie przesunięcie ośrodków dyspozycji pisarskiej świadczy, niewątpliwie, o szerokości zainteresowań i bogactwie talentu pisarza, który na gruncie dwóch odmiennych zgoła dziedzin literackich czuje się jednako pewnie i swobodnie. Zadatki sukcesu autora „Cynku“ i „Pieniądza“ tkwiły zresztą potencjonalnie już w jego ostatnich utworach poetyckich. „Tak“, „Trudny życiorys“, „Powódź i śmierć“ — te wierszowane opowieści wyszły daleko poza obręb przeżyć intymnych i kameralnych, wchłonęły w siebie mnogie pierwiastki uchwytnej i realnej rzeczywistości, stały się dokumentem reakcyj poety na dziejące się wokół sprawy wielkiego i powszechnego znaczenia. Były — słowem — dla uważnego obserwatora zapowiedzią zwrotu w twórczości Czuchnowskiego, który — jako indywidualność ludzka i artystyczna — tak głęboko i organicznie wrasta w świat zewnętrznej przedmiotowości, że pisarskiego dlań wyrazu szukać musi w sferze bardziej bezpośredniej, niż liryczne filtry, stwarzające bądźcobądź dystans istotny między rzeczywistością a jej wyobrażeniem interpretacyjnem.

„Cynk“ — był to fragment surowej prawdy więziennej, podany z rozmysłem w sposób suchy, bezpretensjonalny, protokólarny. Temat sam postulował powściągliwość i oszczędność w doborze środków wyrazu: każdy krok fałszywy, każde przeciągnięcie struny groziło szkodą niepowetowaną: zatopieniem tego, co ma wymowę własną, w rozlewnej fali słów tutaj — mniej wymownych, choćby najozdobniejszych. „Pieniądz“, będący rodzajem relacji o wyborach małopolskich w latach 1928 i 1930, ogarnia sprawy bardziej rozmaite i rozległe, toteż inwencja pisarska autora miała tu możność nieskrępowanego, wytężonego działania.

Nazwałbym te polityczno-wyborczą wiejską „powieść“ Czuchnowskiego*) zarysem „historji naturalnej“ małopolskiego chłopa w okresie pierwszych lat pomajowych. Spotykamy tu wszystkie elementy badania, warunkujące pełnię i dokładność rezultatów, więc — opis, klasyfikację, rozbiór krytyczno-porównawczy, zestawienia i wnioski. Ale obraz ogólny niema nic wspólnego z tem, co trąci uczoną nudą i pedanterją. „Pieniądz“ utrzymany jest niemal w całości w tonacji tęgiego, żywiołowego — humoru, chociaż ta „powieść“ — powiedzmy to odrazu — nie zakrawa bynajmniej na humoreskę. Bujny i odważny humor Czuchnowskiego, nie cofa się przed niczem i niczego nie oszczędza. Gdy uważa za właściwe, przechodzi w karykaturę i groteskę, albo przybiera pamfletowe akcenty. Wśród masy chłopskiej, szarpanej w różne strony przez agitatorów wyborczych, kandydatów na posłów i „polityków“ osobliwego autoramentu, falują nastroje, zmieniają się sympatje, krzyżują zamiary i dążenia. Jest to widowisko jedyne w swoim rodzaju, którego sens i smak ocenić należycie potrafi pisarz tej właśnie miary i tego usposobienia, jak żyjący wsią i wsi oddany Czuchnowski.

Ale — jak powiedziałem — „Pieniądz“ nie jest humoreską, zaś autor nie chce i nie może brać na siebie roli beztroskiego, niefrasobliwego wesołka. Dlatego też humor, o którym tu mowa, przypomina Gogola, a nie Marka Twaina. Najistotniejszą substancją śmiechu, przelewającego się szeroką gamą poprzez karty „Pieniądza“, jest — mimo wszelkie odmienne pozory — gorycz paląca, gorycz zawodu, że „naród“ wsiowy dał się orżnąć i ocyganić, że na swojem postawić nie zdołał i że tej przegranej ponosić musi konsekwencje. Więc nie bezmyślny śmiech i nie jurna fraszka leżą u podstaw powieściowej koncepcji; jej fundamentem jest troska czujna i żywa o przyszłość tych, co „żywią i bronią“, a głosu należnego nie mają. Pieniądz — już bez cudzysłowu — deprawuje jednostki, paczy wolę zbiorowości, zapewnia jednym przywileje, utrwala poniewierkę innych. Z tym stanem rzeczy nie godzi się Czuchnowski, przeciw tyranji pieniądza protestuje swą pracą codzienną i swą twórczością pisarską.

Z temperamentem i rozmachem, z drapieżną pasją obserwatorską rysuje Czuchnowski w „Pieniądzu“ szereg kapitalnych typów z owego okresu złudzeń i zawodnych nadziei. Bogaci chłopi i dygnitarze wiejscy, „średniacy“ i proletarjat rolny, księża i obszarnicy, działacze ludowi i pseudo-ludowi, przedstawiciele władzy lokalnej — wszystkie te warstwy i warstewki ludności małuńskiego powiatu mają odpowiednie miejsce w powieści i tworzą ciekawy, choć niejednolity, zespół, poruszający się żwawo w szrankach akcji wyborczej. Takie postacie, jak b. posłowie Krecik i Badaj, dziedzic Szawelski, ksiądz Pater, nie wyliczając wielu innych, pozwalają — z woli autora — poznać i zrozumieć chytrą mechanikę wyborów, które zamiast słynnej „bułki z szynką“ przyniosły w rezultacie o ileż mniej smakowite plony. Świetnie odmalował Czuchnowski pewne epizody walki wyborczej, jak n. p. sprytny, choć brzydki podstęp jednego ze stronnictw ludowych, rywalizujących z listą socjalistyczną: grupa ludowców, udając socjalistów, organizuje fikcyjny pomiar gruntów chłopskich pod niemniej fikcyjną przyszłą „komunę“, — a po tem wszystkiem socjaliści w całym powiecie nie dostają ani jednego głosu. Różnych sztuczek i tricków wyborczych jest w powieści mnóstwo, jeden bodaj lepszy od drugiego. Już pierwszy rozdział, zawierający opis zebrania z udziałem b. posła Krecika, mówi sam za siebie i stanowi majstersztyk humorystyki wyborczej.

Postacią, odcinającą się interesująco od ogólnego tła masy chłopskiej, którą za właściwego bohatera powieści uważać należy, jest Franek Kyrcz, przerastający rozumem gromadę i traktowany przez nią (a przez innych również), jako „wywrotowiec“. Takie piętno oczywiście życia Frankowi nie ułatwia; wyzuty z ojcowizny przez chciwego szwagra, idzie Franek na tułaczkę i przepada w mglistej, nieprzyjaznej dali.

Zakończenie powieści, formalnie z całością jej nie powiązane, pozostaje przecież w łączności wewnętrznej z tem, co nazwaćby można: zasadniczą myślą autora. Pieniądz i w tym ostatnim rozdziale odgrywa rolę złowrogą, dla losów ludzkich decydującą: oto gromada parobków i dziewcząt wiejskich, dla których nie stało chleba w ojczyźnie, wyrusza w obce kraje szukać pracy i zarobku. Ten zamykający książkę akord pesymizmu niema jednak w sobie nuty — rozpaczy. Tak — gromadka bandosów zmierza ku stacji kolejowej w pomroce nocnej i wśród jesiennej pluchy, idzie na daleką wędrówkę, na ciężki trud i — może — poniewierkę zdala od swoich i bliskich, — ale jakaś hardość rozpiera — mimo wszystko — te młode, stygmatem nędzy dotknięte dusze, jakiś animusz krzepi myśl tej chłopskiej młodzieży i każe jej śpiewać na odchodnem: „Panowie! Panowie! Będziecie panami, ale nie będziecie panować nad nami“...

...O konieczności zrzucenia z chłopskich pleców ciężaru egoistycznego „panowania“ mówi i przekonywa mocna, jędrna i rumiana powieść Czuchnowskiego.

Bolesław Dudziński

*) Marjan Czuchnowski. Pieniądz. Powieść. Kraków, „Sirinks“, 1938; str. 267 i 1 nl. Okładkę rysował Stefan Żechowski. Zl. 6.

ZOFJA LISSA

Z TEORJI SZTUKI

Książka Baleta i Gerharda*) jest znakiem czasu. Czasu, w którym zagadnienia społeczne wywierają coraz silniejszy nacisk na kategorje myślowe człowieka; czasu, w którym dialektyczne ujmowanie zjawisk kultury, przedewszystkiem sztuki — doniedawna rozpatrywanych prawie wyłącznie pod kątem zasad formalistycznych lub t. zw. „Geisteswissenschaft“ — staje się coraz aktualniejsze i coraz częstsze. Metoda ta wyrasta z założenia, że rozwój sztuki nie jest procesem autonomicznym, ale odcinkiem życia, organicznie związanym z całością procesów życiowych i z ich rozwojem. Zmiany w całości historycznego stawania się są przyczyną i podłożem wszelkich przemian stylistycznych w sztuce. Toteż wykrycie związków między zmiennym prądem życia społecznego, a równie zmiennemi formami w sztuce, jest celem tych badaczy, którzy stoją na stanowisku determinizmu ekonomicznego. Do najnowszych publikacyj tego kierunku należy właśnie książka Baleta i Gerharda.

Przed badaczami tego kierunku stoją jednak trudności, znacznie większe, aniżeli wobec formalistów: materjalistyczne wyjaśnienie rozwoju sztuk na pewnym odcinku historycznym wymaga zarówno głębokiej znajomości historji, stosunków ekonomicznych, socjalnych, jak też świetnej orjentacji w całości nadbudowy kulturalnej: w filozofji, literaturze i sztuce. Trudność tę można umniejszyć w dwojaki sposób: przez współpracę kilku specjalistów w każdej z tych dziedzin, lub przez ograniczenie rozważanego materjału historycznego do jednego tylko okresu rozwoju. Autorowie omawianej książki poszli obu drogami: ograniczyli teren swych badań do XVIII w. w Niemczech, do okresu zatem, w którym likwidowała się kultura feudalno-absolutystyczna, z nowych zaś warunków poczęła narastać i krystalizować się nowa kultura klasy mieszczańskiej. Ponadto oparli się na współpracy wielu specjalistów, którzy jednak, pozostawszy w Niemczech, nazwisk swych woleli nie podać. (Z niejasnej w pewnych punktach przedmowy Baleta takie właśnie wnioski dają się wysnuć). Wynikiem tej współpracy jest ogromne dzieło, które nie tylko opisuje ogół zjawisk materjalnych i kulturalnych tego okresu, ale wyjaśnia też związki dialektyczne między niemi zachodzące, konieczność przemian kulturalnych i ich kierunek, wyznaczony bazą materjalną. Dawny sposób badań historycznych w sztuce, ograniczający się do opisu, odpowiadający zatem na pytanie „jak“?, teraz zostaje pogłębiony i rozszerzony na pytania: „skąd i dlaczego“?. Genetyczny, socjologiczny aspekt zajmuje miejsce opisowego.

*

Jako muzykolog wybieram z bogactwa materjału, zawartego w książce Baleta i Gerharda odcinek zagadnień muzycznych i jego krytyką pragnę się tu zająć.

Największą zasługą autorów jest wydobycie na światło dzienne tych wszystkich ogniw pośrednich, które wiążą w łańcuch przyczynowy procesy historyczne, ekonomiczne i polityczne z przemianami stylu muzycznego. W ramach XVIII w., w którym dokonywa się na terenie Niemiec przełamanie się kultury okresu absolutystycznego i narastanie kultury mieszczańskiej, ogniwa te są następujące: dążenie mieszczaństwa do niezależności ekonomicznej znajduje swój wyraz w tendencji do socjalnego zrównania się klasy mieszczańskiej z warstwą szlachty i książąt; z tendencji tej rodzi się nowa ideologja mieszczaństwa, stojąca w służbie jego interesów, ideologja, przeciwstawiająca dawnemu prawu panów prawa człowieka. Położenie akcentu na „człowieku“ bez względu na jego stanowisko społeczne, prowadzi w zakresie spraw umysłowych do oświecenia, do zaniku światopoglądu religijnego (deizm, potem zupełny ateizm), zaś w zakresie życia uczuciowego do akcentowania pierwiastków emocjonalnych, w dalszem stadjum do subjektywizmu. Ten ostatni czynnik staje się źródłem przełomu stylistycznego w muzyce.

Zmianie ulega miejsce tej sztuki w światopoglądzie człowieka, zmieniają się zewnętrzne formy jej uprawiania, kształtuje się nowy ideał brzmieniowy, a wraz z tem wszystkiem — nowe zasady konstrukcji muzycznej i formy dzieł muzycznych. Związek muzyki z formami liturgji kościelnej rozluźnia się, narasta życie koncertowe, dawniej ograniczone prawie wyłącznie do dworów książęcych, zamiast sztywnej polifonji muzyki, uprawianej głównie dla celów reprezentacji dworskiej — pojawia się homofonja, w której raczej pierwiastki subjektywne mogą dojść do głosu. Zamiast ciągłej, nieskończonej melodyki i techniki snucia motywicznego, będącej wyrazem jednolitego, usztywnionego afektu — teraz wyłaniają się kontrasty tematyczne, w których dochodzi do głosu fluktuacja treści uczuciowych. Zamiast form ściśle imitacyjnych, krystalizuje się forma sonaty, bardziej dynamiczna od fugi. Zamiast sztywnego **stilo reppresentativo** wielkiej **opera seria**, występują prostsze i bardziej bezpośrednie opery komiczne i t. zw. „Singspiele“, oraz realizuje się reforma Glucka. Zamiast ozdobnych aryj, gubiących wszelki nastrój w zwojach koloratury — krótkie, intymne pieśni, zamiast kontrastów dźwiękowych obsady koncertującej — zespoły kameralne.

Przemiana ta zajmuje cały wiek XVIII i przechodzi przez liczne etapy pośrednie, zawsze jednak wiąże się ściśle z formami walki mieszczaństwa o wyzwolenie ekonomiczne i zrównanie socjalne. Walka ta obejmuje wszystkie fronty człowieka: jego życie intelektualne i emocjonalne, jego kategorje moralne i estetyczne. Wszystkie znajdują swe odbicie w właściwościach nowego stylu i prowadzą do tego poziomu, z którego potem wyrasta gigantyczna postać Beethovena. Determinacji historycznej jego stylu, w którym styl tej epoki dochodzi do kulminacji — autorowie z niewiadomych przyczyn już nie podejmują.

*

Gdy ogólna linja wywodów obu autorów uderza swą trafnością, przekonywa wnikliwością w chwytaniu ukrytych dotąd związków między tłem społecznem a cechami stylu tej epoki, w licznych szczegółach należy się jednak autorom przeciwstawić. Ze względu na naprawdę przełomowe znaczenie tej książki dla dalszych badań muzykologicznych, tem silniej należy podkreślić pewne niedociągnięcia, które — skontrolowane — w przyszłości pozwolą udoskonalić stosowaną tu metodę badawczą.

Niekonsekwencją wobec zajętego stanowiska metodycznego jest n. p. wyprowadzanie właściwości stylistycznych baroku muzycznego z **pojęciowej analizy** istoty absolutyzmu, zamiast z form życia i tła społecznego, które wynikało z tej formy ustrojowej. Ograniczać istotę absolutyzmu do „Drängen zur Machterweiterung“ i z tej cechy wyprowadzać pewne właściwości konstrukcyjne ówczesnej muzyki — jest wyrazem czystej spekulatywności, obcej wyznawanym przez autorów założeniom merytorycznym i metodycznym. Wywody te pozostają zresztą w sprzeczności z inną partją rozważań; w absolutyzmie autorzy widzą bowiem statyczną formę ustrojową i z niej właśnie wyprowadzają pewne statyczne w swej istocie formy muzyczne. Również niewystarczająco uzasadnione jest twierdzenie autorów, że harmonika funkcyjna związana jest z kulturą mieszczańską, zaś konstrukcja polifoniczna z systemem tonacyj kościelnych. Jesteśmy dziś świadkami silnego nawrotu polifonji, mimo zupełnego odwrócenia się od tonalności kościelnej. Na czem to związanie polega — nie dowiadujemy się, mimo, że mamy prawo domagać się tego od autorów. Historycznie nieuzasadnione jest również twierdzenie, że myśl humanistyczna rodzi dopiero muzykę międzynarodową, przeciwstawiającą się dawniejszemu nacjonalizmowi muzycznemu. Chyba trudno w dawnych, średniowiecznych środowiskach muzycznych, które tworzyły szkoły niederlandzkie, rzymska lub wenecka i inne, dopatrywać się już **narodowej** postawy. Nie można się też całkowicie zgodzić z interpretacją przyczyn, które wpłynęły na świeckość muzyki kościelnej w XVIII w. Tendencje takie — i to bardzo silne — istniały też przedtem, były przez duchowieństwo zwalczane (sobór trydencki) i trudno je dopiero teraz uznawać i przypisywać antyreligijnej postawie oświeconego mieszczaństwa. Przenikanie pierwiastków stylistycznych świeckich do muzyki kościelnej, daje się teraz może raczej wyjaśnić dominowaniem postawy estetycznej u słuchaczy nad kontemplacyjną, religijną w epokach dawniejszych. Nakładanie się tych dwu nastawień istniało zawsze i było przyczyną, dla której większość kultów religijnych wciągała muzykę do współpracy: doznania estetyczne szły z powodzeniem na rachunek przeżyć religijnych. Trudno nakoniec zgodzić się — ze stanowiska już tylko psychologicznego — na wyjaśnienie formy sonatowej. I tu musimy podnieść zarzut spekulacji, przeciwnej zasadniczym wytycznym, jakie sobie autorowie wyznaczyli.

Wszystkie te zarzuty nie obalają jednak w niczem doniosłego znaczenia, jakie książka Baleta i Gerharda posiada dla współczesnych badań w zakresie nauki o muzyce. Że nie udaje się jej wyjaśnić wszystkiego, że nie zawsze jest wierna swoim zasadom — to wynika z trudności, na jakie siłą rzeczy muszą natrafiać pierwsze tego rodzaju badania. W muzykologji zachodnio-europejskiej książka ta jest bowiem w pewnym sensie pionierska. Toruje drogę nowemu aspektowi, który głębiej i szerzej wyjaśnia przemiany stylistyczne, aniżeli dotychczasowy sposób badań stylokrytycznych.

*

Wywody autorów nie ograniczają się do spraw muzycznych. Muzyka jest tylko jednem z wielu zagadnień, traktowanych równie szczegółowo i obszernie, jak inne działy kultury. Opisując przemiany zaszłe we wszystkich sztukach, odkrywają autorowie wspólne im wszystkim tendencje, sprowadzają do wspólnych źródeł materjalnych. To wszystko wraz z ogromnie dokładnemi danemi o drogach ekonomicznego rozwoju mieszczaństwa niemieckiego, czyni tę książkę lekturą ciekawą i pouczającą. Niektóre rozdziały, jak n. p. o handlu książątek niemieckich „mięsem armatniem“, o ich konszachtach z duchowieństwem, o prześladowaniu poetów i filozofów, którzy mieli odwagę im się przeciwstawić... nadają tej książce posmak szczególnie aktualny.

*

Wybitny filozof niemiecki Dilthey w swem głębokiem dziele o światopoglądzie renesansu i reformacji powiada: „Zawsze wtedy, gdy jakaś kultura zamiera i powstaje nowa, blednie i rozluźnia się świat pojęć, wyrosły ze starszej kultury“. Omówiona tu książka, obok innych jest dowodem tego, że na miejsce rozluźniającego się świata starszych pojęć wyrasta dziś nowy, który coraz szersze zatacza kręgi i dochodzi już nawet do wysokich brzegów teorji sztuki. Książka Baleta i Gerharda jest wyrazem pierwszego zetknięcia się muzykologji z materjalistyczną metodą rozważań.

*) Die Verbürgerlichung der deutschen Kunst im 18. Jahrhundert. Leyden, 1936.

NOWA POWIEŚĆ O WOJNIE

Jeżeli przy czytaniu powieści Rembeka*) nasuwa się niekiedy, dalekim cieniem, wspomnienie Remarque'a „Na zachodzie bez zmian“, to chyba nie przez podobieństwo, lecz przez odrębność, przez kontrast raczej. Książka Rembeka nie jest z ducha Remarque'a. Jeżeli Remarque budzi zgrozę nagromadzeniem okropności życia frontowego — z tyfusem, wszami, głodem, biegunką, szpitalem, jękiem rannych — Rembek, jakkolwiek zahacza o te strony wojny, przedstawia je jednak bez skoncentrowania elementów wstrząsających i działających na nerwy czytelnika. I to właśnie jest osobliwością tej książki. Autor najpierw jakby hypnotyzuje, jakby znieczula czytelnika, nakazując mu spokój i wytrzymałość, poczem dopiero otwiera przed nim otchłań i piekło wojny, spokojnie, z zimną krwią, jak chirurg, dokonywający straszliwej operacji i demonstrujący jej przebieg przed asystentami. Jak autor doszedł do tego, jak to osiągnął, pozostaje tajemnicą jego talentu.

Chociaż opowieść Rembeka pełna jest truizmów rzeczy skądinąd dobrze już znanych w rodzaju takich n. p.: „jedynym środkiem zdobycia szacunku i miłości mas jest powodzenie“, lub: „wrażliwość ludzką jest wyczerpalna, pamięć posiada ograniczoną pojemność“, albo też: „oczekiwanie czegoś nieznanego jest zawsze przykre dla człowieka“, — jednak autor umie rozwinąć je w sposób tak żywy i interesujący, że czytelnik dosłownie nie może się od książki „oderwać“ i czyta ją jednym tchem, co przy książkach „batalistycznych“ (jest nią opowieść Rembeka) nie jest zjawiskiem częstem i zwyczajnem.

Porywa też Rembek szczerością myśli i uczuć, gdy n. p. mówi bez obsłonek, że „istnieje wiele odwiecznych, umownych kłamstw, całe instytucje opierają nierzadko na nich swe istnienie. I coby się stało n. p. z ideą państwa — (czy) z ideą miłości ojczyzny, gdyby każdy szczerze i bez ogródek opowiedział, co myśli o swoim narodzie, o jego kulturze ...o dobrodziejstwach klimatu swego kraju i jego pięknie? — (albo) coby się stało n. p. z takim kościołem katolickim, jeśliby każdy wierny, począwszy od ojca św., zaczął oglądać swoje wątpliwości?“. Wszędzie widzi autor — kłamstwo, bo na niem „stoi świat“. Tak samo przedstawia się sprawa wojny z jej „romantyzmem niebezpieczeństwa, odwagi i poświęcenia“, z którego autor bezlitośnie ją ogołaca, dowodząc, że na wojnie, bardziej może niż gdzieindziej, człowiekiem kieruje instynkt samozachowawczy i strach, bajką są opowiadania o poświęceniu się, o „koleżeństwie zawartem w polu“. Tylko zwolennicy wojen przedstawiają te rzeczy tak pięknie i kłamliwie, w rzeczywistości na froncie „niema nic poza narzuconą formę współżycia ludzi, skazanych na jednakową dolę“, i całe romantyczne koleżeństwo towarzyszy broni „nie stoi wyżej od znajomości z podróżnym, jadącym tym samym pociągiem“.

Jednakże ta szczerość Rembeka nie jest, jakby się zdawać mogło, wynikiem jego negatywnego stosunku do zagadnień bytowania ludzkiego, do rzeczy i spraw „boskich“ i ziemskich. Przeciwnie: od pierwszego zdania i po ostatnie, przez całą opowieść wije się, niekiedy prawie nieuchwytna, ale wyczuwalna, mocna nić mistycyzmu, łącząca dwa światy, „ten i tamten“. Tło powieści — znowu inaczej niż u Remarque'a — jest wyraźnie metapsychiczne. Dzieje kompanji zaczęły się niby od „przypadkowej“ (spowodowanej nieobecnością sierżanta Derenia) śmierci „cichego kaprala“ Górnego i skończyła się na zagładzie całej 7-ej kompanji, której „wszystkie nieszczęścia rozpoczęły się wraz z dniem, w którym zginął kapral Górny“, gdyż niewątpliwie „istnieje pomiędzy pewnemi wypadkami niedostępny dla ludzkiej logiki związek“... w co, zdaje się, nie wątplił tajemniczy sierżant Dereń, jakby wiedząc zgóry, że kompanja, która „dopuściła“ do śmierci kaprala Górnego, musi „przestać istnieć“. I tak się też stało — w imię jakichś niezbadanych praw świata, w imię tajemnych mocy, decydujących „o powodzeniu poczynań ludzkich“. W takich rzeczach niema argumentów. „Niema argumentów, aby wytłumaczyć, że trzeci papieros zapalony tą samą zapałką nie może wpłynąć na kierunek pocisku, a zdjęcie fotograficzne na sprawność silnika samolotu“. „wiara — to co innego, niż wiedza“, „myśl — co innego niż doświadczenie“. I chociaż żaden mędrzec nie zdołałby wykryć związku między śmiercią kaprala Górnego, a niepowodzeniami kompanji, które wkrótce po tej śmierci nastąpiły, i jej końcem — mimo to wypadki potoczyły się tak, jakby te dwie sprawy były ze sobą w jakiejś nierozerwalnej łączności czy zależności. Może wiedział coś o tem milczący sierżant Dereń? Może, zresztą, klęska 7-ej kompanji nie była niczem innem, jak tylko dziełem jego wiary, jego skoncentrowanej i potężnej myśli z gatunku tych, co „poruszają przedmioty na odległość i utrzymują życie fakirów, zakopanych w trumnie“? Niktby na to odpowiedzieć nie potrafił. Daremnie też wytężał myśl podporucznik Paprosiński — główna i najciekawsza postać książki, postać, przez której spojrzenie przechodzi i przełamuje się właściwie cała historja zagłady kompanji. Paprosiński — to mistyk, myśliciel i literat, zapisujący w myślach i w marzeniach (podczas huraganowego ognia, w biegu) karty swych przyszłych powieści, których, niestety, nie było mu dane napisać w rzeczywistości, gdyż widocznie i nad nim się unosił cień cichego kaprala, bo to właśnie Paprosiński nieopatrznie wysłał go na patrol, pozostawiając później Derenia w mniemaniu, że uczynił to podporucznik Ludomski — typ „rasowego oficera“ rygorysty, z tych, co to klnie, beszta, wybucha, co umie głęboko ukryć wzruszenia i sentymenty, co do końca pozostaje na posterunku i ginie ostatni, jak kapitan okrętu.

Zagadka istnienia dwu bytów i tajemny związek wszechrzeczy, cała ta strona metapsychiczna stanowi najbardziej może charakterystyczny rys książki Rembeka, będącej pozatem i przytem powieścią realistyczno-psychologiczną, wywodzącą się z ducha powieści Struga. Prawzory Paprosińskiego można znaleźć i w „Mogile nieznanego żołnierza“ i w „Dziejach jednego pocisku“ i w innych dziełach Struga, jeśli go się weźmie nie jako autora „ludzi podziemnych“, lecz autora „ludzi myślących i czujących“. Jeżeli jednak, idąc śladami Struga, dotrzemy aż do Dostojewskiego (bardzo ciekawie „wyprowadził“ Struga z Dostojewskiego Kubacki), nie należy się posuwać dalej: właściwej Dostojewszczyzny u Rembeka niema, są tylko może ogólne i dalekie echa wielkiej realistycznej powieści rosyjskiej. Ale są też w opowieści Rembeka akcenty całkiem inne, dzisiejsze, z dni bezpośrednio nam bliskich — to dygresje, trącące... antysemityzmem, co wydaje się szczególnie dziwne przy szeroko otwartym horyzoncie umysłowym i duchowym autora.

Powieść Rembeka, jak rzadko która, odrazu prawie zyskała sobie całkiem zasłużone uznanie i zachwyt zarówno przedstawicieli świata literackiego, jak i szerokich rzesz czytelników. Juljan Tuwim, porwany pięknem książki Rembeka, wysłał do autora list, pełen szczerej radości z faktu ukazania się w literaturze polskiej dzieła tak pięknego. Zachwyt ten budzi przedewszystkiem język Rembeka, szlachetnie prosty, rytmiczny, posiadający poprostu dźwięczność „metaliczną“, w pełni nasycającą wrażliwość słuchową czytelnika.

Należy również wspomnieć o wyjątkowej „czystości“, jeżeli chodzi o język żołnierski, okopowy; brak bowiem w powieści słów „mocnych i obraźliwych dla rodziny“, choć były — co autor podkreśla — „nadużywane w stosunkach służbowych“. Trzeba także wspomnieć o szczególnej zdolności Rembeka wywoływania przed czytelnikiem postaci zadziwiająco „żywych“ przez umiejętne podkreślenie pewnych, charakterystycznych dla nich szczegółów zewnętrznych (w ubiorze, ruchach, wyrazie twarzy).

„W polu“ jest dziełem talentu poważnego, wykazującego wysoki stopień dojrzałości.

Marja Koszyc-Szołajska

*) **Stanisław Rembek. W polu.** Opowieść. Warszawa, „Bibljoteka Polska“, 1937; str. 465 i 1 nl. Zł. 5.75.

IDEAŁ

Ideał sięgnął bruku —
i wyrwawszy kostkę
tryumfalnym łukiem
w łeb czyjść cisnął prosto.

Czyj ten łeb fatalny —
czyżbyś podejrzewał?
I czyj łuk tryumfalny?
No i czyj ideał?!

St. J. Lec

Dzieje jednego z „paragrafów aryjskich“

Wraz z walką o „podłe“ stragany w małych miasteczkach oraz „pikietowaniem“ konkurencyjnych sklepów w miastach większych, rozgorzała walka o „szlachetne“ stragany adwokackie, lekarskie, wreszcie inżynierskie. Wszystko dzieje się oczywiście w imię idei, nie jakichś poziomych interesów materjalnych. Oczywistość tę mąci niestety jedna tylko okoliczność: żadne ze stowarzyszeń, które z takim zapałem uchwalały bojkot, ogrodzenie się, wytępienie, nie zobowiązało swoich członków adwokatów, by nie bronili Żydów w sądach, lekarzy, by nie leczyli płatnych pacjentów-Żydów, architektów, by nie budowali Żydom domów, inżynierów, by nie wykonywali dla nich żadnych robót lub dostaw technicznych... Taka uchwała bojkotowa mogłaby natychmiast być wcielona w życie w 100%. Wystarczyłoby, gdyby ideowi szermierze hitleryzmu ogłosili drukiem takie swoje postanowienie, zaopatrując je w swoje podpisy...

Może historja paragrafu aryjskiego w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich (w skróceniu SEP) rzuci promyk światła na ideologję, pobudki, tło społeczne i zasięg naszego ruchu antysemickiego. W Stowarzyszeniu tem — choć jednoczy adeptów najbardziej nowoczesnej dyscypliny technicznej — również straszą upiory średniowiecza.

Zaczęło się w Katowicach. Na walnem zebraniu oddziału Zagłębia węglowego dn. 18. II. 1936 wystąpił p. Mauberg z wnioskiem, podpisanym przez 8 członków, żądającym, żeby na przyszłość przyjmowane były do SEP tylko „osoby pochodzenia aryjskiego“. Po dyskusji wniosek został odrzucony 20 głosami przeciwko 16 („Przegląd Elektryczny“, 1936, zesz. 10).

Inicjatorzy wniosku rozwinęli szeroką agitację, rozesłali odezwy do wszystkich członków SEP o „aryjskiem“ brzmieniu nazwiska i t. d. W rezultacie wniosek został poparty przez małe oddziały, Poznań i Toruń, oraz 55 członków (na ogólną liczbę ok. 500 członków) oddziału warszawskiego. Natomiast przeciw temu wnioskowi powzięły uchwały Kraków i Łódź.

Naskutek różnych tych uchwał Zarząd Główny SEP zwołał dn. 3. V. 1936 — przed walnem zgromadzeniem Stowarzyszenia — posiedzenie wespół z prezesami wszystkich oddziałów, poczem uchwalił „przeciwstawić się wnioskowi (bojkotowemu), jako sprzecznemu z zasadami naszej instytucji i nie dającemu się pogodzić z charakterem naszej pracy i istotą naszych zadań... Wniosek, wprowadzający do pracy naukowo-technicznej akcenty polityczno-narodowościowe, mógłby wypaczyć... linję wytyczną dotychczasowej pracy naszej organizacji“ („P. E.“ 1936, z. 23).

Na walnem zgromadzeniu w Wilnie dn. 30. V. 1936 rozwinęła się nad wnioskiem rasistowskim namiętna dyskusja. Bojowi zwolennicy wniosku na wstępie zażądali **tajnego** głosowania, na co odezwał się głos, że „ze sprawy tajnego głosowania wynika coś, czego właśnie jest wstyd“!... Jako czołowy mówca wystąpił p. Mauberg. Uważa, że „sprawa żydowska jest najważniejszą sprawą w naszej organizacji... Bez rozwiązania sprawy żydowskiej w Polsce nie będzie Polski mocarstwowej“... Zapewnia, że nim nie kieruje uczucie nienawiści, lecz „jedynie dobrze zrozumiany interes samozachowawczy“. Podziwia naród żydowski, który „liczy 16 miljonów, a trzyma w kieszeni cały świat“!... Inny mówca twierdzi wbrew prawdzie, że spośród jego kolegów 10% nie pracuje, Żydzi zaś wszyscy pracują.

Przepojone nienawiścią przemówienie wygłasza właściciel firmy instalacyjnej. Wylicza, że „t. zw. komuniści wyznania mojżeszowego w okrutny sposób zgładzili i zamęczyli 1,859.568 aryjczyków“! Zapewnia o „szlachetnych porywach młodzieży, która intuicyjnie poszukuje dróg, by ratować Ojczyznę-Polskę od zachłanności wewnętrznych jej wrogów“. Mówi o „krwawym Marxie“... W konkluzji tych wywodów wyraża pragnienie, by SEP było organizacją jednostek o wysokiej wartości etycznej, by dążyło do wyższości intelektualnej“!... („P. E.“ 1936, z. 23). Inny mówca tego obozu zapewnia. że „operujemy argumentami pozamaterjalnemi, ogólnie uznanemi, a na terenie akademickim niepodlegającemi dyskusji wśród Polaków“...

Gdy jeden z przeciwników wniosku rasistowskiego zwrócił uwagę, że wśród podpisanych pod wnioskiem jest szereg nazwisk o brzmieniu niepolskiem (Mauberg, Szpor, Todtleben), p. Szpor stanowczo zaprotestował „przeciwko stawianiu tego rodzaju zarzutów“...

Obecni na Zgromadzeniu członkowie-Żydzi oświadczyli, że w dyskusji głosu zabierać nie będą. Nikt spośród mówców, przeciwnych wnioskowi endooenerowskiemu, nie stanął na stanowisku zasadniczem, ogólnoludzkiem. Wysuwano jedynie względy utylitarne. Poddali się tupetowi „młodego pokolenia“... Jeden tłumaczył, że nam potrzebne są pieniądze i opowiadał, ile to kapitałów potrafili Żydzi sprowadzić z zagranicy do Polski, ile dzięki temu założyli placówek przemysłowych dobrze urządzonych. Prezes Zarządu, p. Kühn, bronił wprawdzie wspomnianej antyendeckiej uchwały Zarządu, uważał jednak za potrzebne dodać od siebie, że niema wprawdzie żadnej nienawiści do Żydów, ale „jest jego obowiązkiem... walczyć o dobrobyt tych, którzy są mu najbliżsi, tych, z którymi łączą go wspólne dzieje, wspólna historja“...

Pomimo słabego odporu wniosek rasistowski został jednak obalony 129 głosami przeciwko 95.

Hitlerowcy polscy nie dali za wygraną. Nastąpił właśnie wówczas dla nich okres „burzy i naporu“, zakończony „zozonizowaniem“, a więc ułatwionym dostępem do żłobu... Rozwijają agitację, mobilizują „młode pokolenie“, których przedstawiciele li poznaliśmy z wynurzeń zjazdowych. Już dn. 26. II. 1937 wniosek bojkotowy przechodzi 48 głosami przeciwko 8 w oddziale Zagłębia węglowego w Katowicach. Komenda przechodzi następnie do oddziału warszawskiego. Powiększył on w roku 1937 liczbę swych członków o 90 (z 485 do 585, gdy w całem Stowarzyszeniu wraz z Warszawą, liczącem w roku 1936 członków 1023, przybyło wszystkiego 107 członków). Wciągano widać usilnie do SEP młodzież „narodową“, która zdobyła już „laury“ na Politechnice.

I otóż zapadają w Kole warszawskiem SEP jaskrawe uchwały antysemickie. Naskutek tych uchwał wystosowałem dn. 7. 3. 1937 do Zarządu Głównego SEP list treści następującej:

„Na walnem zebraniu Koła Warszawskiego SEP powzięta została, jak słyszałem, uchwała o nieprzyjmowaniu do SEP czy też do Koła nowych członków pochodzenia żydowskiego i jakaś druga uchwała o brzmieniu dokładnie mi nieznanem, wymierzona przeciwko członkom SEP pochodzenia żydowskiego.

Na zebraniu obecnych było ok. 130 osób z ogólnej liczby członków Koła 513. Widocznie przybyła na zebranie w przeważnej większości młodzież społecznie niewyrobiona, a specjalnie zaagitowana do powzięcia uchwał powyższych, wszystko zaś zostało wyreżyserowane przez jednostki, które w interesie własnej kieszeni usiłują wyzyskać teren Stowarzyszenia do ułatwienia sobie walki konkurencyjnej na rynku elektrotechnicznym.

Tak pojmując uchwały powyższe, z ducha hitlerowskiego poczęte, mógłbym osobiście przejść nad niemi do porządku.

Pozwalam sobie jednak mniemać, że Zarząd SEP, który stać musi na straży statutu Stowarzyszenia, a także brać w obronę członków, których uchwały powyższe usiłują znieważyć, zajmie bądź sam w jaknajkrótszym czasie stanowisko w sprawie wystąpienia niepełnego, ale prawomocnego walnego zebrania Koła Warszawskiego, bądź też zbada zapomocą referendum opinję **ogółu** członków Koła warszawskiego i opinję tę zakomunikuje członkom.

Od rozstrzygnięcia sprawy powyższej zależy dalszy stosunek do SEP nie tylko mój, lecz i zapewne wielu innych członków Stowarzyszenia i to nie tylko — jak myślę — członków „pochodzenia żydowskiego“, ale i tych członków pochodzenia „czysto aryjskiego“, u których nasze „czasy pogardy“ i okrucieństwa nie zdołały zagłuszyć wymogów i pojęć kulturalnych“.

W myśl mego listu Zarząd rozesłał zapytania do wszystkich członków SEP, podając pod głosowanie 3 alternatywne wnioski:

Wniosek A: przyjmowanie do SEP tylko osób narodowości polskiej i to w drodze balotowania (balotowanie umożliwia „cichy“ bojkot osób „niepożądanych“).

Wniosek B: nieprzyjmowanie osób narodowości żydowskiej lub pochodzenia żydowskiego.

Wniosek C: odrzucenie obu wniosków powyższych.

Rezultat głosowania był następujący: wniosek A otrzymał 142 głosy, B — 455 głosów, C — 148 głosów. Spośród zatem ok. 1130 członków SEP głosowało 742, z czego za jawnie rasistowskim wnioskiem B oddano głosów 455, a przeciw 290. Wobec roznamiętniającej agitacji, zorganizowanej przez wszelkiej barwy endecję, a finansowanej przez zainteresowany przemysł „chrześcijański“, wolno przypuszczać, że 388 członków, nie biorących udziału w referendum, należy raczej do przeciwników rasizmu. Właściwie więc tylko 40% członków SEP wypowiedziało się za hitleryzmem polskim.

Referendum miało charakter tylko informacyjny, decyzja miała zapaść na dorocznym zjeździe SEP. Ale widać było, że Zarząd odstąpił od swego stanowiska z roku 1936. Ukorzył się przed impetem „młodego pokolenia“! Już na walnem zgromadzeniu Oddziału Warszawskiego dn. 2. III. 1937 sekretarz Zarządu oświadczył, że „Zarząd Główny, licząc się z nastrojami wśród członków, opracowuje zmiany statutu, idące w tym duchu, co uchwalone wnioski“. Sądzę, że wyznaczenie przez Zarząd, jako miejsca Walnego Zgromadzenia, Warszawy — zamiast poprzednio obranej Gdyni — miało ułatwić liczny udział w Zjeździe odpowiednio zorganizowanej młodzieży oddziału warszawskiego...

Zjazd odbył się w końcu maja w Warszawie. Przyjętym już charakterystycznym zwyczajem wodzireje zażądali tajnego głosowania i nieotwierania dyskusji. (Już na walnem zgromadzeniu oddziału warszawskiego na wniosek p. Szpotańskiego zaniechano dyskusji „jako zbędnej“!).

Zarząd zmienił swój wniosek A, proponując przyjmowanie członków przez balotowanie bez dodatku „narodowości polskiej“, gdyż Zarządowi — zdaje się — zależy na kilku członkach-cudzoziemcach, dyrektorach dużych przedsiębiorstw... Wniosek drugi żądał nieprzyjmowania osób narodowości lub pochodzenia żydowskiego.

Za wnioskiem 1-ym padło głosów 455, przeciw — 74.

Za wnioskiem 2-im padło głosów 398, przeciw — 139.

Przeszły zatem oba wnioski. W głosowaniu brało udział 543 członków, obecnych na Zjeździe. 398 głosów, które padły za wnioskiem 2-im, stanowią jednak tylko ok. **jednej trzeciej** głosów ogółu członków SEP. Tylko bierność większości członków tego rodzaju stowarzyszeń, ich usuwanie się od walki pozwala buńczucznej, pozbawionej skrupułów mniejszości, terroryzować chwiejnych i nieśmiałych i odnosić zwycięstwa“...

Po zwycięstwie p. Sprusiński oświadczył, że „zapał“ Zjazdu dowodzi, iż ogół kolegów zdaje sobie sprawę z doniosłości akcji. Zapowiada drugi etap walki gospodarczej „z przemysłem obcym lub polskim tylko z nazwy“... „Przedstawiciele młodego pokolenia“ będą „nieugięcie dążyć“ do celu pełnej elektryfikacji, „dokonanej rękami polskiego robotnika pod kierownictwem inżyniera-Polaka z polskich surowców, przerobionych w polskich fabrykach“. (Czy zapowiedź odnosi się także do takich surowców, jak miedź, bawełna, kauczuk, mika, platyna, rtęć i t. d. — nie wiemy).

Zaraz po Zjeździe wystosowałem do Zarządu Głównego SEP dn. 28 maja 1937 list treści następującej:

„Wobec tego, że bardzo znaczna większość członków SEP zarówno przy referendum, jak i w głosowaniu na Walnem Zebraniu wypowiedziała się w duchu hitlerowskim za wnioskiem o nieprzyjmowaniu do SEP nowych członków pochodzenia żydowskiego, uprzejmie proszę o wykreślenie mnie z liczby członków SEP.

Jednocześnie składam godność personalnie powołanego członka Centralnej Komisji Normalizacyjnej Elektrotechnicznej oraz przewodniczącego Komisji Przepisów Budowy i Ruchu i zrzekam się uczestnictwa w innych Komisjach Przepisowych.

Jakkolwiek jestem głęboko przekonany, że zaraza reakcji społecznej i kulturalnej, której drobną tylko częścią składową jest heca antysemicka, zmyta zostanie rychło przez fale postępu społecznego, i że niejeden z członków SEP, który czynnie lub biernie pomógł uchwaleniu wniosku, będzie w przyszłości tego się wstydził, nie uważam jednakże za możliwe pozostawanie nadal w Stowarzyszeniu, którego większość członków hołduje barbarzyńskim zasadom hitleryzmu“.

Nie minęło 9 miesięcy od przytoczonych uchwał „młodego pokolenia“, a w organie SEP „Przeglądzie Elektrotechnicznym“, z dnia 15 marca roku bieżącego czytamy, że na walnem zebraniu Oddziału łódzkiego SEP prezes zgłosił ustąpienie i „zwrócił się do członków Oddziału pochodzenia żydowskiego z wezwaniem w imię harmonijnej współpracy do przerwania abstynencji w pracach Oddziału, prowadzonej na znak protestu przeciw uchwałom“ (o nieprzyjmowaniu Żydów do SEP). „Uważa on bowiem, że oświadczenie jego na zebraniu w dniu 13. I. r. b. łącznie ze stanowiskiem, jakie zajął Zarząd w związku z tem oświadczeniem i rezygnacją jego, daje tym kolegom zupełną satysfakcję w ramach, jakie są możliwe na terenie Oddziału“. Nowowybrany prezes oddziału także „zwrócił się do wszystkich kolegów z prośbą o nieuchylanie się od zebrań i o współpracę“.

Nie wiem, czy powyższe oświadczenia są zapowiedzią ogólnego otrząśnięcia się od sugestji frazesów agitacyjnych. czy też mamy do czynienia ze zjawiskiem miejscowem, lepszem zrozumieniem potrzeb życiowych przez elektryków łódzkich, bardziej zrośniętych z przemysłem.

Przytoczyliśmy ponure wypowiedzi tych, co z tupetem głoszą, że są przedstawicielami „młodego pokolenia“ i do nich przyszłość należy. Widzieliśmy, że ich adepci stanowią tylko mniejszość nawet wśród drobnomieszczańskiej inteligencji zawodowej, miotanej falami ruchów społecznych, których sensu i kierunku nie rozumieją. A przecież warstwa drobnomieszczaństwa stanowi mały tylko ułamek ogółu młodzieży polskich mas pracujących. Masy te nie szukają natchnień u Rosenbergów, Goebbelsów i Streicherów. Nauczycielami ich byli Waryńscy, Rechniewscy i Strugowie. Z ich łona wyszli bohaterscy młodzieńcy, Okrzeje i Baronowie...

Bernard Szapiro

P. Bernard Szapiro, autor tego artykułu, był już ok. roku 1898 jednym z założycieli Sekcji Elektrotechnicznej przy ówczesnem Towarzystwie Popierania Przemysłu przy Muzeum Przemysłu. W roku 1901 wydał jedną z pierwszych w języku polskim książek z dziedziny nowoczesnej elektrotechniki. W roku 1904 był redaktorem dodatku do „Przeglądu Technicznego“ p. t. „Elektryczność“, co miało stanowić zaczątek specjalnego pisma. Jest współinicjatorem i współtwórcą prac przepisowych w dziedzinie elektrotechniki. W latach 1926—37 PKE i SEP wydały ok. 50 tych prac. Napisał też wiele rozpraw i artykułów, drukowanych w „Przeglądzie Elektrotechnicznym“ i ogłoszonych oddzielnie.

WŚRÓD POETÓW

Lech Piwowar. Co wieczór. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1937; str. 52.

Trzeci tom Piwowara jest ważkim dokumentem dla tych, którzy pojmują wulgarnie zadania poezji społecznej, i wskazuje, jak obfite możliwości leżą w podglebiu świadomości poetyckiej. Dalekie asocjacje i spięcia, sięgające tak głęboko, że dochodzą do zdumiewających nieraz odkryć, są związane żelazną konstrukcją tych niewielkich stosunkowo, lecz jakże naelektryzowanych i wypełnionych dynamiką poematów. To jest książka, która wyszła z kręgu zdobywców, ostrym wiatrem niepokoju przybliża autor przyszłość.

Będąc obecnie jednym z czołowych poetów walki o sprawiedliwość społeczną i wyzwolenie człowieka, sięga poeta w tych wierszach w głąb „powszednich doznań“, wydobywających z nich bogactwa przeżyć i obrazów o skali nieprawdopodobnie szerokiej. Nie przychodzi to z łatwością. W każdym wierszu wyczuwa się walkę z oporną materją słowa. W fantastycznie rozbudowanych wizjach przewijają się znane zdarzenia i leżące na sercu każdemu człowiekowi, bliskiemu społecznie poecie. W wierszu o krakowskich wypadkach marcowych („Pogrzeb pięknej“) czytamy: „Kto nie widzi koloru jutra, nie ma oczu...“.

Trudna faktura formalna tych wierszy, wywodząca się częściowo z Peipera, częściowo zaś z nadrealistów francuskich i Apollinaire'a, łatwo może zniechęcić czytelnika. Na tem też polegają zadania nowej poezji społecznej, aby uczyła przeżywać w prawdziwie poetyckim wymiarze, będąc jednocześnie iskrą padającą w „beczki spasionego prochu“.

Niełatwa jest droga poetycka, którą obrał Piwowar i chociażby przez szacunek dla wytrwałej walki z przeszkodami na tej drodze, które poeta zwycięsko burzy, powinni się przyjrzeć jej ci wszyscy, którzy z powątpiewaniem kręcą nosem na „nowatorów awangardowych“, a którzy, jak to powiedział w jednym wierszu Piwowar, „nie wiedząc nic o poezji, nie mogą być bardziej współcześni“.

Strzelisty gmach przyszłości, rozbudowany wizualnie w „Co wieczór“ pełen jest wiary i radości, bo „Najbliższa ręka, która sięga po najdalszą radość“ i „Oko więcej radości niesie, niż okna czterolistnych kościołów“. Do przyszłości wiedzie trudna droga codziennych doznań i olśnień lirycznych, z których Piwowar wychodzi niemal zawsze zwycięską ręką. Znać w tym tomie dużą kulturę literacką i plastyczną autora. Ciekawie wydany tom zdobią piękne rysunki Wandy Markiewiczówny, Henryka Gotliba i Zbigniewa Pronaszki.

Trudna twórczość u prawdziwych zdobywców równa się trudnemu życiu. Dlatego poeta pyta: „Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę?“.

Lola Szereszewska. Gałęzie. Warszawa, F. Hoesick, 1938. Str. 34 i 2 l.

„Gałęzie“ Szereszewskiej — to barwny szkicownik liryczny. Przed oczami czytającego majaczą fragmenty podróży, krajobrazów, wyznań i doznań miłosnych. Jest to typowa liryka postskamandrycka z budowaniem wiersza na, wplecionej w układ stroficzny, poincie. Stąd hamowanie spostrzeżeń i obserwacyj poetyckich. Tylko w niektórych wierszach, gdzie autorka sięga instynktem w głąb przyrody i krajobrazów, wiersz, niekrępowany „przemyślaną konstrukcją“, rozrasta się w ładny obraz o przyjemnym i świeżym kolorycie. W przeważnej jednak mierze czuje się jakiś dystans między autorką a podmiotem lirycznym, co daje w rezultacie kulturalnie skomponowaną całość, ale pozbawioną owej soli attyckiej, owego elementarnego ładunku poetyckiego, który zapłodniony istotnem przeżyciem wybucha i piętrzy przed oczami czytającego niecodzienne bogactwa, drzemiące w podświadomości poety. Badając przyczynę tego stanu rzeczy, nasuwają się dwie alternatywy: brak przeżyć albo niezbyt dostateczna jeszcze umiejętność sięgania instynktem poetyckim w głąb opisywanych zdarzeń, a następnie w głąb siebie. Prawdopodobną jest druga alternatywa, gdyż wiersze zawarte w „Gałęziach“ mają przeważnie ów autentyczny posmak, co jest jedną z głównych zalet tomu. W materji poetyckiej tych wierszy wyczuwa się nieskoordynowaną wielowarstwowość, gdzie istotne i nagłe doznania poetyckie splatałyby się w udatną całość, gdyby nie przeszkadzały temu inne warstwy. Warstwy te — to pozostałości i naleciałości lektury poetki. Błąkają się tu niekiedy echa Tuwima („Gałęzie“, „Lipiec“, „Linje równoległe“) i Staffa („Książki“). Nie są to wpływy wyraźne, ale aura tych poetów

przeniknęła ową „drugą warstwę“, zaś przyswojenie owej aury nie było w efekcie końcowym pozytywne. Podkreślić jednak należy, że w owych zmaganiach, w owem dążeniu do stworzenia własnej atmosfery poetyckiej raz jeden odniosła poetka zwycięstwo, w ciekawym wierszu „Szkoła“. W innych wierszach owo przezwyciężenie jest jeszcze fragmentaryczne.

Ważne jest również, że wyczuwa się w tomie charakterystyczną osobowość autorki: naturę liryczną, subtelną, nawet przeczuloną i zamkniętą w kręgu swoistych doznań. Próba wyjścia poza ów cieplarniany krąg, liryka społeczna, nie zawsze daje dobre rezultaty i może spowodować rażące passusy, jak n. p. „U progu płacze krzywda. W akordy urasta“. W tym wierszu o tendencji społecznej wyczuwa się tkliwe współczucie dla ludzkiej krzywdy, obserwowanej przez okno ciepłego pokoju.

W każdym razie „Gałęzie“ są dużym krokiem naprzód po pierwszym tomie Szereszewskiej („Niedokończony dom“) i spodziewać się należy, że w trzecim tomie przezwycięży autorka dotychczasowe trudności i sięgnie instynktem poetyckim głębiej, niż sięgała dotychczas.

Tadeusz Zelenay. Jesień sentymentalna. Warszawa, F. Hoesick, 1937; str. 42.

Z okresu młodzieńczych burz i naporów wyłoniło się czułe oblicze liryczne. Wiersze zawarte w debjutowym tomie Zelenaya noszą niewątpliwe piętno młodzieńczych kompleksów i zapatrzeń chłopięcych. Dziwny jest ten debjut poety codziennych wzruszeń i zasłyszanych zdarzeń. Wierszom grozi duże niebezpieczeństwo rozpłynięcia się w łatwych nastroikach i zbyt prostej śpiewankowatości. Jest jednak coś, co nie pozwala tego tomu nie tylko zdeprecjonować, ale wręcz przeciwnie — coś, co każe przypatrzeć się dokładniej tej „łatwej“ twórczości. Bo zdarzenia i pejzaże, sielankowe i pogodne zaśpiewy, są mimo swojej łatwizny, wzruszające. Autor sięga daleko wstecz, w odległe pejzaże wiejskie, w strzępy krajobrazu wojennego. Wszystko to ujęte przeważnie w regularną strofę i rytm, dyktowany niejednokrotnie wewnętrznym oddechem. Łatwe są tutaj wiązania, lecz pomimo łatwości. wzruszają.

Genealogję „Jesieni sentymentalnej“ należy przypisać poetom Skamandra, Tuwimowi w szczególności. Brak jednak Zelenayowi potoczystości „pierwowzorów“. Wychodzi mu to raczej na dobre. Tam, gdzie wiersz staje się szorstki, zwłaszcza w cyklu obrazów, gdzie wzruszenie zdarzeniami odległemi, lecz bliskiemi („Rapsod kastylijski“) zmienia strofę w strzępy urywanych zdań, dźwięczy czuły kamerton autora „Jesieni sentymentalnej“, przedewszystkiem człowieka, a dopiero później poety. W tych momentach uwypukla się postawa społeczna autora, który ze swego lirycznego ustronia śledzi czujnie walkę ludzi o ideały miłości, wolności i braterstwa.

Jerzy Kamil Weintraub

W oczach Zachodu

DAWNIEJ I DZIŚ

Kronikarz bizantyński, Jan Malalas, przekazuje takie polecenia Attyli do cezarów rzymskich, Teodozjusza II i Walentynjana III w V w.: „Imperat per me Dominus meus et Dominus tuus Attila ut sibi Palatium instruas ut veniat“. („Mój i twój pan, Attyla, poleca ci przygotować twój pałac na jego przyjęcie“). Na przybycie Führera w Rzymie nie tylko przygotowano pałac, ale nawet zbudowano nową stację kolejową, co zaś najważniejsze, ponad stu hitlerowskich policjantów zostało wysłanych do Rzymu, aby zapewnić gościowi bezpieczeństwo.

PO MEKSYKU EKWADOR

Prezydent republiki Ekwadoru, generał Enriquez wypowiedział umowy z towarzystwami zagranicznemi; towarzystwo szwajcarskie utraciło koncesję na budowę kolei z Ibarra do Esmeraldas, zaś towarzystwo amerykańskie, eksploatujące pokłady złotodajne, będzie odtąd płaciło 12% zamiast dawnych 6% od dochodów, nie będzie puszczało w obieg własnych banknotów i zapłaci nadto wielką grzywnę za to, że zamiast złota, dostarczało rządowi ziemi, zawierającej złoto. Towarzystwo angielsko-ekwadorskie wyrządzało państwu szkód na półtora miljona dolarów rocznie...

Przygotowywana jest ustawa, która zabroni adwokatom krajowym bronić towarzystw zagranicznych. Groźne protesty ambasady angielskiej i amerykańskiej zostały odrzucone przez generała Enriquez'a. Wielkie manifestacje robotnicze i antyfaszystowskie odbyły się pod hasłem: precz z włoską misją wojskową.

NIEMCY I LITWINI

11 marca władze niemieckie aresztowały i uwięziły filozofa i pisarza litewskiego Wilhelma Starosta-Vydunas'a, którego 70 rocznicę urodzin miał lud litewski niebawem obchodzić.

Vydunas, Litwin z Prus Wschodnich, jest obywatelem niemieckim i mieszka w Tylży, należy więc do mniejszości pod panowaniem niemieckiem. W sprawach politycznych zawsze był lojalny wobec Niemiec. Zbrodnią było, że wyrażał piórem swoją wiarę w duchową twórczość ludzkości, w tolerancję i współpracę ludów.

NOWE METODY WYBORCZE

Na okres przedwyborczy urządzono w okolicy Salzburga obóz koncentracyjny; nadzór nad nim powierzono austrjackim hitlerowcom, w nagrodę za oddane usługi. Osiemnaście tysięcy ludzi znalazło pracę, prawdopodobnie jako stróżowie więzienni. Göring zagroził Schuschniggowi sądem za oszustwo plebiscytowe, zdaje się jednak, że będzie on, podobnie, jak Thälmann, więziony bez sądu. („The New Statesman“, 2. IV.).

O HISZPANJĘ

Generał Armengaud w „Europe Nouvelle“ pisał: „Franco poczynił obietnice, ale w dzisiejszych czasach tylko gwarancje mają jakąś wartość. Do dzisiejszego dnia 700 obcych samolotów nowego typu i 75.000 cudzoziemskich wojsk znajduje się w Hiszpanji. Czy Francja nie powinna, za zgodą Barcelony, a może i Burgos, zająć Minorkę i porty w Alicante i w Cartagenie, aż do dnia, kiedy linje komunikacyjne między Francją a Algierem i Oranem będą zabezpieczone, Włosi zaś i Niemcy opuszczą Hiszpanję? Ale może wchodzić w rachubę tylko angielsko-francuska okupacja“.

Alexander Werth dodaje w „The New Statesman“, że byłby to jedyny sposób ocalenia republiki hiszpańskiej, a prawdopodobnie i Francji. Optymizm rządu angielskiego jest niezrozumiały.

SZANTAŻ NIEMIECKI W ANGLJI

Firma angielska, występująca jako przedstawicielka niemieckiej manufaktury, otrzymała instrukcje z Niemiec, polecające usunąć jednego z członków zarządu, który ma krew żydowską; w razie niewykonania instrukcji, firma utraciłaby przedstawicielstwo. Członek zarządu, zajmujący jedno z głównych stanowisk, podał się do dymisji, nie chcąc rujnować przedsiębiorstwa.

ZBROJENIA ANGIELSKIE

Wedle Białej Księgi wydanej przez rząd brytyjski na rok 1938—39, suma przewidzianych wydatków na armję, marynarkę, lotnictwo i obronę przeciwlotniczą wynosi ponad 55 miljardów franków francuskich.

W budowie jest: 5 pancerników po 35 tysięcy ton, 5 okrętów lotniskowców po 20 tysięcy, jedenaście krążowników, 25 statków myśliwskich, 15 łodzi podwodnych, które już są w dokach; nadto 6 krążowników i 4 łodzie podwodne. Razem 490.000 ton okrętów wojennych.

W niedalekiej przyszłości wypuszczone zostaną za przykładem Japonji okręty o tonażu ponad 35 tysięcy.

Anglja przeznacza rocznie 914 miljonów franków na lotnictwo morskie.

Ilość eskadr lotniczych wzrosła z 52 w r. 1935 do 125. („Marianne“, 13. IV.).

CO DAJE ANSCHLUSS?

Niemcy przed „Anschlussem“ importowały z Austrji w 1936 r. rudy żelaza za 217.000 szylingów, zaś w 1937 za 2,357.000; lanego żelaza za 715.000 w 1936, zaś 1,840.000 w 1937; stali za 950.000 w 1936, zaś 1,938.000 w 1937 r. Od 1933 roku produkcja rudy żelaznej wzrosła o 350%, produkcja nafty z 855 ton w 1933 r., podniosła się do 33.000 ton.

Stosunki wymienne między Austrją a państwami naddunajskiemi zostały zerwane. Berlin może zużytkować całość produkcji austrjackiej. Lasy austrjackie dostarczą koniecznych surowców przemysłowi chemicznemu. Gdyby nie Anschluss, w najbliższym czasie musiałaby nastąpić prawdziwa masakra drzewostanu w Niemczech. („Marianne“, 20. IV.).

CO BĘDZIE PO WOJNIE?

Kiedy wojska włoskie i niemieckie opuszczą terytorjum Hiszpanji, zostaną tam „doradcy“, „instruktorzy“, „technicy“; jak wiadomo, każdy urzędnik cywilny, należący do państwa totalnego, pracujący zagranicą, działa podobnie jak konsul czy żołnierz wedle instrukcyj. Włochy nie zaanektują Majorki, ale zbudują tam lotniska i stacje z paliwem dla celów wojennych. Niemieccy inżynierowie już obecnie umacniają Pireneje i budują w Pasajes na wybrzeżu baskijskiem bazę morską. Hiszpanja odegra tę samą rolę, jaką Turcja odegrała w przeddzień wojny w 1914 roku. Niemcy nie zostawią w Hiszpanji garnizonów, ale dostarczą materjału wojennego i przeszkolą wojsko i za to uzyskają koncesje. Nadto kopalnie ważnych dla wojny minerałów zostaną wydzierżawione Niemcom wzamian za oddane usługi. Jak dowodzą przychwytane dokumenty. Mussolini zaczął uzbrajać i subsydjować hiszpańską prawicę już w 1934 roku, Niemcy zaś wywierały wpływ na prasę na długo, zanim Franco rozpoczął rebelję. („The New Statesman“, 9. IV.).

DROBNE WIADOMOŚCI

Przepowiednia z wielkim hałasem wykrzyczana przez Mussoliniego: „Chamberlain pozwoli mi zwyciężyć w Hiszpanji, a potem mi zapłaci za to, abym stamtąd wycofał moje wojsko!“ — spełnia się.

Wedle nowych przepisów, każdy Niemiec żyjący zagranicą ma się zgłosić do konsula, każdy kto posiada auto marki nieniemieckiej musi je sprzedać i kupić auto niemieckie. Ilość aut niemieckich przywożonych miesięcznie do Anglji w r. 1936 wynosiła 40, w ostatnich miesiącach wzrosła do liczby 1.170.

Anglja zainwestowała w Chinach 120,000,000.000 złotych kapitału i nie jest prawdopodobne, aby pozwoliła Japonji zniszczyć swój handel na dalekim Wschodzie.

Brazylja w r 1934—5 zniszczyła 359.000 ton kawy, zaś w r. 1936—7 — 447.000 ton.

Jeden z wielkich dzienników paryskich zamieszcza takie ogłoszenie: „Umieszczajcie wasze kapitały w Tangerze, mieście międzynarodowem, wolnem od podatków. Przenoście wszystkie hipoteki do Tangeru“.

Na wystawie w Düsseldorfie w 1937 r. wywieszono mapę przyszłych granic Niemiec; włącza ona w granice Rzeszy Alzację, Lotaryngję i znaczną część Polski.

Wedle potwierdzonych wiadomości z Chin, armja japońska napotyka na coraz większy opór. Chińczycy odnieśli duże zwycięstwo pod Taier-Tchouang, gdzie oddziały japońskie zbuntowały się i przeszły na stronę nieprzyjaciela.

W parlamencie japońskim zapowiedziana została długa wojna. Wysłano do Chin duże posiłki, ale inicjatywa działań wojennych znajduje się w rękach Chińczyków. Koło Yih-Sien Chińczycy oflankowali i zmusili do odwrotu wielką armję japońską, odnieśli nadto liczne zwycięstwa koło Suchowa, w prowincji Shantung, a nawet koło Shanghaju.

Rok temu generał Franco w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Echo de Paris“ powiedział: „Uwielbiam Francję, ale Front Ludowy nie jest Francją“.

Zwolennik nieinterwencji, to człowiek, który czeka, aż żmija ugryzie Hitlera.

Oblicze dnia

W kwietniowym (6) numerze „Zadrugi“, „pisma nacjonalistów polskich“, zwalczającego katolicyzm, czytamy w art. „Sławizm sjonizmu a nasze żydzieje“ takie m. inn. odkrycia naukowe „genjalnego Mistrza“ Stacha z Warty Szukalskiego:

„Człowiek, chodząc na tylnych nogach, mógł zawsze krzyżować się ze wszelkiemi odmianami swego gatunku, bez względu na różnice koloru i rasy, bo cokolwiek wyszło z owego mieszania, to zwalał na dopust Boży i jego przewidzenie.

Gdybyśmy dziś klasyfikowali ludy świata w podobny sposób, jak inne gatunki ssaków, a wyłączyli biblijne poglądy ze społecznej zoologji, tobyśmy spostrzegli, że łatwość zmiany wyznania i zdolność płodzenia czarno-białych dzieci, niekoniecznie uwzględnia mieszanie ludzkich gatunków i czyni zbytecznem przewidzenie biologicznych skutków. Lecz cechy rasy koczowniczych włóczęgów mogą przeważać nie tylko w pierwszem pokoleniu rasowego kundlostwa, ale przez kilka. Dzieci mogą odziedziczyć jasność włosów i oczu — jakieś cielesne dziedzictwo od Słowian, a psychikę zaś od wschodnich pasorzytów. Pełen wewnętrznego ognia ogier, znalazłszy skorą oślicę może sprodukować muła — lecz muł nie będzie mógł sam mieć dzieci — bo odziedzicza jakąś ujemną cechę od bezdusznej rasy osłów, które porównać można z gnuśnem bytowaniem beztwórczej rasy.

Był czas, gdy Grecy byli jasnowłosą i -oką rasą. Takimi blondynami byli Rzymianie, Gallowie — Francuzi. Jako tacy mieli wielką zdolność państwotwórczą. Zdobywali świat i ludy mrowiące się na nim. Lecz w zdobyczy kryła się klęska, bo między zdobytemi ludami były rasy koczownicze — Mongołowie i Semito-Negryci.

Jak jasnowłosa Hiszpanja, po najeździe koczowniczych Negro-semitów stała się czarnowłosą, tak i dawna Grecja, Rzym starożytny i niedawna Francja zostały zatopione powodzią tej krwi i potrochu znikły z dziejów jako potęgi państwowe i dziejo-twórcze.

Jeszcze dziś mamy rzadkie wypadki jasnowłosych Włochów, szczególnie w Sycylji — Wenecji, którzy mimo swej odrębności odnoszą się ze wzgardą do czarnowłosych Włochów, nie wiedząc wcale, że ich stosunek jest odziedziczony sprzed tysiąca lat temu, kiedy to czarne uwłosienie było dowodem mieszaniny z negro-semickimi niewolnikami. Dzisiejsze odrodzenie Włoch jest symptomatem zaniku negro-semickiej krwi i powrotu do prototypu rasy twórczej tak, jak obecne przemiany w Niemczech są oznaką końcowego spożycia owej biologicznej „pożyczki“ Słowiańsko-rolniczej krwi, która stworzyła niemiecką kulturę... i powrót do własnej krwi germańskiej — to jest powrót do prototypu najeźdźco-koczowniczego.

Jestem pewien, że upadek, nie tylko Polski, lecz i innych narodów, był spowodowany przeniknięciem krwi Negro-semickiej, która, jako koczownicza, ma specjalną predylekcję do pośredniczego handlu. Podkreślam, pośredniczego!... Cała niezdolność i apatyczność zwierzchniego społeczeństwa jest rekrutowaną z tej kundlowskiej mieszaniny ludzkiej...

Powód do stanu rzeczy, jaki mamy w naszej Ojczyźnie, może być łatwo wymacanym w mieszanej krwi naszych dygnitarzy, upadek naszej kultury, zanik Ducha i dziejotwórczej Woli. Szersze społeczeństwo nosi wyraźne cechy semickiej tchórzliwości“...

KORESPONDENCJA

Wł. B. Kraków. Prosimy o przysłanie innych wierszy.

T. H. Kraków. Prosimy o przysłanie większego wyboru. Tomik oddaliśmy recenzentowi.

J. Fr. Stebnik. Artykuł „Widz o twórczości filmowej“ nie będzie drukowany. W najbliższym czasie wprowadzimy dział sprawozdań filmowych. Zasyłamy pozdrowienia.

L. R. Lwów. Wiersze nie będą drukowane.

Zb. Cz. Zimna Woda. Warto pracować. Prosimy przysłać po pewnym czasie nowy wybór.

M. B. Jabłonica. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

A. B. Warszawa. Wiersze nie będą drukowane. Zasyłamy pozdrowienia.

J. M. Warszawa. Dziękujemy za nadesłane nowele do działu „Przypomnienia“, nie możemy jednak z nich skorzystać. Może artykuł o L. St. Licińskim, ciekawy i źródłowy?

H. S. Krynica. Wiersze nie będą drukowane.

Jerzy Raun. Lwów. Prosimy o porozumienie się z redakcją.

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK **Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6.**